



**Nie wierzę w informacje
upragnione przez ich
roznosicieli. Takie jak
rak Najwyższej Trzustki.
Stanowi on przejaw
niepobożnego życzenia.**



**Błaszczak
przebiera
w trupach**

str. 4

DZIENNIK COTYGODNIOWY

**Użalają się nad premier, użalają się nad kierowcą seicento.
Stanem ciężko rannego drzewa nie zainteresował się nikt.**

Szydło kosi lipę

MICHAŁ MARSZAŁ

W XX w. najpopularniejszym środkiem transportu do Oświęcimia był pociąg. W szczytowym okresie jeździły tam codziennie kolejną dziesiątki tysięcy podróżnych i zdecydowana większość bezpiecznie docierała do celu. Komu to przeszkadzało?

Czasy niepolskich obozów koncentracyjnych minęły jednak bezpowrotnie. O tym, że przeżyli Oświęcim, możemy usłyszeć od coraz mniejszej liczby osób. Do grona cudownie ocalałych dołączają na szczęście nowi, tacy jak Beata Szydło i jej goryl, dla których źle skończyło się jeżdżenie po Oświęcimiu niemieckim pojazdem opancerzonym.

Winny wypadku mógł być szofer premier Szydło, mógł też 21-letni kierowca seicento – wyjaśni to wymiar sprawiedliwości pod uczciwym zarządzeniem ministra Ziobry. Jedno jest natomiast pewne – całkowicie niewinne było w tej sytuacji drzewo, które robiło to, co zwykle robią drzewa, czyli sobie, kurwa, stało.

**Gościu, siadź pod mym liściem,
a odpocznij sobie!**

Na miejsce wypadku nie wezwano śmigłowcem chirurga drzew, a wybitnych specjalistów jest w Polsce kilkunastu. Żaden z pracowników ratusza odpowiedzialnych za miejską zieleni nawet lipy porządnie nie zerznął. Stoi podziurawiona na poboczu i jest smutnym przykładem pierwszej nad Wisłą lipy płaczącej. Jedynym drewnem, jakie starano się ratować feralnego piątku, była premier Szydło, od której sztywniej przemawiać potrafi tylko Waldeemar Pawlak.

Nie jest winą oświęcimskiej lipy, że została uwikłana w sprawy polityczne. Jako człowiek szczególnej empatii postanowiłem pośpieszyć z pomocą rozjechanemu przez premierzycę drzewku. Wsiadłem w pierwszy pociąg i udałem się na miejsce zdarzenia u zbiegu oświęcimskich ulic Orzeszkowej i Powstańców Śląskich. Widok był opłakany. W korze drzewa znajduje się dziura o średnicy 40 cm.

Białe są w nie plastikowe elementy limuzyny. Teren wokół lipy przesiąknięty jest paliwem, olejem i obsypany sorbentem. A co w tym wszystkim wesołe – na jezdni ciągnie się długa podwójnie ciągła linia, której propagandyści z TVPiS zapomnieli omyłkowo pokazać w „Wiadomościach”.

**Nie dójdzie cię tu słońce,
przrzekam ja tobie**

O drzewach wiem tylko tyle, że przypominają duże brokuły na patyku. Na początku chciałem zafundować chorej lipie nawóz. Trudno było jednak pod drzewem zdjąć portki i oddać kał, tym bardziej że zima i dużo gapiów. Liczące ok. 20 m wysokości drzewo i tak miało już pecha – zainstalowała się na nim jemioła, roślina pasożytnicza. 13 naliczono

nych przeze mnie konarów było w dobrym stanie, jednak nie wiadomo, jak dzwon z 3-tonowym audi mógł wpłynąć na kondycję pnia. Postanowiłem więc skontaktować się z najwybitniejszymi w Polsce specjalistami, aby ustalić, jak biednemu i porzuconemu drzewu pomóc.

Od Barbary Stępień, prezeski Polskiego Towarzystwa Chirurgów Drzew, otrzymałem namiary na Zbigniewa Chachulskiego, wiceprezesa towarzystwa. Bardzo się z tych namiarów ucieszyłem, bo wiem dzień wcześniej kontaktowałem się już z panem Chachulskim. Kazał wysłać pytania oraz zdjęcia drzew e-mailem i zadzwonić o poranku następnego dnia. Tak też uczyniłem, po czym pan Chachulski stwierdził, że żadnej wiadomości nie dostał, a poza tym właściwie nie ma czasu, bo właśnie wyjeżdża. I że pewnie popełniłem błąd w adresie. Sprawdziłem, nie popełniłem.

Mgr inż. Tomasz Łyszcz, członek Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Leśnictwa, biegły sądowy i inspektor nadzoru, również kazał wysłać szczegóły

Dokończenie na str. 3



Ilustr. WŁODEK KIERUS

PiS w uszach Trumpa

**Słowniczek
pisowsko-amerykański.**

Około 3,5 tysiąca amerykańskich żołnierzy, którzy przyjechali, aby stacjonować w Polsce, musi mieć niezłą zdiwkę, gdy słyszy z wielu stron PiS to polska władza, PiS to polski rząd, prezydent jest z PiS, PiS to, PiS tamto... Również uwielbiany przez PiS nowy prezydent USA Donald Trump, któremu nieobcy jest język slangu i angielszczyzny potocznej i kolokwialnej, musi unosić brwi ze zdumienia, jeśli zdarza mu się słyszeć, że w Polsce, dokąd posłano amerykańskich chłopców, rządzi partia PiS. PiS, PiSs, piss... Co to znaczy w uszach Trumpa?

PiSs – szczyny, szczuć;
PiSs around – opierdalać się;
PiSs away – przejechać (zmarnotrawić);
PiSs hard-on – poranna erekcja;
PiSs off – spierdalać;
PiSs on you – idź się jebać;
PiSs one's drawers – robić w gacie;

PiSs-head – menel;
PiSs-ugly – brzydszy od gówna;
PiSs-warm – ciepły jak świeże szczyny;
PiSsed – najebany;
PiSser – chuj, sracz, skurwysyństwo;
PiSsing – chujowy;
PiSsy-ass – do dupy.

I conclude. I have to PiSs.

W.K.



Gryźcie głowę

Stłuczka, wypadek, katastrofa w ruchu lądowym – różne media różnie nazywają dzwoniący przez kierowcę rządowego audi wiozącego premiera Szydło z pracy w Warszawie do domu w Brzeszczach.

Różnie też jest oceniany stan zdrowia Szydło. Na początku zupełnie nie jej nie było, potem wystąpił „dyskomfort będący skutkiem podróżowania w pasach bezpieczeństwa”, następnie pojawiły się potłuczenia, otarcia i siniaki. Stało się na tym, że poszkodowana Szydło doznała „poważnych uszczerbków”, które „doprowadziły do naruszenia czynności ciała na okres dłuższy niż 7 dni”. Według wicepremiera Głińskiego znaczy to tyle, że Szydło jest w „bardzo dobrej formie”.

O Biurze Ochrony Rządu też się różnie mówi. Ministrowie Błaszczak z Zielińskim uważają, że kierowcy podczas wypadku zachowali się profesjonalnie i dlatego BOR należy zlikwidować, a w jego miejsce powołać nową formację, odwołującą się do tradycji naszych dziadków i ojców, czyli Kedywu. Eksperci, którzy znają się na ochronianiu vipów, są zdania, że kierowca audi spanikował, limuzyny w kolumnie jechały za szybko i w zbyt dużych odstępach, a w ogóle to po co było gnać na kogutach w takiej dziurze jak Oświęcim.

Najpierw Błaszczak, potem drogówka, a na końcu prokuratura uznały, że sprawca wypadku jest tylko jeden – 21-letni Sebastian K. z Oświęcimia, kierowca czerwonego fiata seicento. Opozycja, głównie w postaci posła Budki, wstawiła się za sprawcą, ogłaszając go niewinnym i prawie świętym. Oprawcy z policji przesłuchiwali K. bez obecności adwokata, nie dopuścili do niego matki, a lekarz go nie zbadał. K. nie przyznaje się do winy słuchania muzyki w samochodzie.

Prezes, który odwiedził Szydło w szpitalu z bukietem herbacianych róż, powiedział, że wspieranie młodego kierowcy z Oświęcimia przez opozycję „może być traktowane jako wręcz wezwanie do tego, żeby tego rodzaju zdarzenia miały charakter nieprzypadkowy”. Po takim stwierdzeniu Błaszczakowi nie pozostaje nic innego, jak tylko znaleźć oddział kamikadze uzbrojonych w śmiertelność czerwone fiaty. Znaleźć, osądzić i przykładowo ukarać.

Na szczęście nie tylko nieszczęśliwym wypadkiem żył umęczony naród polski. Na przykład ucieszył się, że rząd przyjął Strategię na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju, czyli tzw. plan Morawieckiego. Plan przewiduje, że reindustrializacja, postęp innowacji oraz zapewnienie kapitału dla rozwoju – już w 2030 r. doprowadzą umęczony naród polski do powszechnej szczęśliwości.

Aby odpowiedzialnego rozwoju nie zakłóciło nieodpowiedzialne zachowanie lekarzy, którzy masowo wyjeżdżają do pracy za granicą, wicepremier Gowin ogłosił, że studia medyczne mogłyby być częściowo odpłatne. Ma to polegać na tym, że studenci medycyny dostaną stypendia, które będą musieli odpracować po studiach – w Polsce! Ci, którzy będą chcieli wyjechać, niech pieniądze zwrócą. Wobec sprzeczności planu Gowina z konstytucją resort nauki wycofał się z niego, ale jest pewne, że pomysł płatnych studiów w państwowych uczelniach, nie tylko medycznych, powróci.

Równie nieodpowiedzialnie zachowuje się inflacja – jest najwyższa od czterech lat i wynosi 1,8 proc.

4 stowarzyszenia sędziowskie uznały działania prokuratury w procesie w sprawie śmierci Jerzego Ziobry za „oczywistą i bezprecedensową próbę naciągu na niezawisłego sędziego”. Chodzi o śledztwo w sprawie zatwierdzenia zawyżonych kosztów ekspertyz przez sędzię Agnieszkę Pilarczyk – tę, która uniewinniła lekarzy oskarżonych o rzekome zaniebdanie podczas leczenia Jerzego Ziobry. Jerzy Ziobro zmarł 11 lat temu, a był ojcem Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości i Prokuratora Generalnego, co tylko częściowo może tłumaczyć jego zawziętość.

Podległa żywemu Ziobrze Prokuratura Okręgowa w Radomiu z urzędu wszczęła śledztwo w sprawie zniesławienia prezesa i wiceprezesa Państwowego Wytwórnicy Papierów Wartościowych Piotra Woyciechowskiego i Roberta Malickiego. Zniesławiać miał dziennikarz „Newsweeka”, który opisał atmosferę strachu panującą w PWPW. Prokurom pomagają funkcjonariusze ABW, którzy chcą zdemaskować anonimowych informatorów dziennikarza oraz „Endię. 72” – tajemniczego użytkownika Twittera. Wszystkiego najlepszego życzy kominiarz.

Gen. Piotr Pytel, szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, poskarżył się red. Monice Olejnik, że w listopadzie 2015 r. źle go potraktowano. Musiał czekać, siedząc na zydełku, a dymisję wręczył mu nie Macierewicz, lecz Misiewicz. Poza tym Macierewicz przyznał się cynicznie, że „zamach smoleński to tylko narzędzie polityczne”. Nie ma nic bardziej żalnego niż żale wylewane przez oficera w telewizji.

Nacjonalisci z zaplecza PiS grają polityczne disko polo. Powołali Społeczny Trybunał Narodowy, chociaż dla nich społeczeństwo tożsame jest z narodem. Czyli mięsne mięso. Na czele stoją dwaj archeolodzy – wykopywacze kości Maciej Świrski i Tadeusz Płużański. Pozostali sędziowie noszą nieznane nazwiska. Trybunał ma skazywać na infamię, czyli niesławę. Staje przed nim słoń i pchła. Słoniem jest powojenny prezydent, premier i I sekretarz PZPR Bolesław Bierut. Był on jednak już pośmiertnie skazany na niesławę 60 lat temu przez partię, komisję sędziowską Sądu Najwyższego Szerera i przez sąd, który skazał część kierownictwa Ministerstwa Bezpieczeństwa działającą wedle zaleceń Bieruta i Bermiana. Gorliwcy chcą więc jakby powtórnie ściąć głowę Ludwikowi XVI, chociaż ani król Francji, ani Bierut nie byli dwugłowi.

Stefan Michnik, młody sędzia i jeden z wielu tysięcy wykonawców represji w epoce Bieruta, to ta pchła usadzona u boku słońca na fizycznie pustej ławie oskarżonych przez pułgów sędziów samozwańców. Ów podstępny od pół wieku jest poddanym króla Szwecji, ma ponad 90 lat, ale pechowe nazwisko. Dzieli je po matce z Adamem Michnikiem, któremu na razie trudno przypisać udział w zbrodniach czy w ogóle komunizm. Stefan odpowiada więc przed narodowym niby-trybunałem w zastępstwie przyrodzonego brata, żeby infamia dotknęła nazwisko. Jakiegolwiek by jednak były winy Stefana, nie jest on odpowiedzialny za to, że matka obydwu, pani Michnikowa, z nasienia następnego męża Ożjasza Szechtera, zwanego w zdrobnieniu Szyjko, powiła potwora politycznego Adama.

Samą formułę społecznego trybunału można łatwo zastosować w drugą stronę. Ekipa rządząca może być posadzona przez przeciwników PiS na ławie oskarżonych ich sądu społecznego za łamanie konstytucji i innych zasad prawa. Poprzez internet tysiące ludzi rozpyłał taki proces do milionów odbiorców. Ale nie to jest ważne, lecz skutek pośredni. Internet roznieś sam pomysł trybunału społecznego i powstana ich dziesiątki albo setki. Osądzać będą reżimowców lokalnych i branżowych za różniejsze sprawki. Społeczne procesy sił rządzących przykryją sąd nad Michnikiem i Bierutem, gdyż współczesne winy są ciekawsze dla ludności. Stworzą wrażenie, że społeczeństwo osądza PiS, nie czekając na wybory.

Roli oskarżyciela w procesie Kaczyńskiego i podwładnych mógłby podjąć się poseł Stefan Niesiołowski, a pożądanym przewodniczącym składu sędziowskiego byłby Waldemar Kuczyński, gdyż ma białą brodę, ogień w oczach i surową minę.

U nas wszystkie partie swoją propagandę robią prostacko, bo wprost przez gadające głowy i piszące ręce. Tymczasem wymaga ona finezyjnych manewrów i tworzenia zasadzek. Przykładem tego jest właśnie tworzenie społecznych trybunałów. Odwrócenie przeciw Kaczystom ich pomysłu. Nie tylko propagandę, ale też politykę tak można prowadzić, żeby jej skutki były dopiero pośrednie. Przykładem afera z wielką Warszawą. Z woli PiS

pola, łąki, lasy, bagna i gumna miały dostać nazwę metropolii. Sprzeciw okazały się nie do odparcia, Kaczyński cofnął się więc, zwiększając tym siłę następnych protestów, np. strajku szkolnego.

Propaganda kaczystów codziennie atakuje jakieś środowisko lub osobę. Teraz chętnie sędziów. Wybiera do tego takie poczynania sądów, których ganienie spodoba się pospółstwu. (Patrz szczucie motłochu na sędziego Tuleję). PiS obniża i tak słaby autorytet sądów, aby zyskać poparcie dla przejmowania przez tę partię władzy nad całym już wymiarem sprawiedliwości.

Przypuszczam, że efekt uboczny tego zamiaru nie wyjdzie Ziobrze na dobre.

PiS zwiększy wrogość sędziów wobec siebie. Pogłębi solidarność sędziów i adwokatów z nimi. Kaczyści, chcąc sobie ułatwić połykanie trzeciej władzy, w istocie utrudnią zaspokojenie swojego apetytu.

Na dyrygenta wymiaru sprawiedliwości Kaczyński wybrał Zbigniewa Ziobrę w przekonaniu, że on jako minister i szef prokuratury będzie posłuszny. W przeszłości będąc zdracą PiS, teraz okaże gorliwość, żeby się rehabilitować. Gorliwość ta urosła do nadgorliwości w słowach i posunięciach. Zdobywaniu poparcia pospółstwa dla przejmowania władzy nad sądami szkodzi zaciętość i bezczelność ministra w stosowaniu bezprawia w swojej prywatnej sprawie. Cokolwiek by tłumaczyć o trafności wyroku uzasadnianego przez sędziego Tuleję nakazującego wypłacenie gangsterowi Boguckiemu setek tysięcy odszkodowania za 9 lat aresztu tymczasowego (sic!) i tortury, wszystko to zakończono uniewinnieniem, nic nie da ta perswazja. Ciemny lud nie kupi obсыpywania bandyty pieniędzmi. Wcale nie uważa go za równego wobec prawa. Natomiast machlojki Ziobry w systemie prawnym, żeby setki tysięcy nie wyszły z kieszeni jego i krewnych ministra na opłacenie biegłych, wzniecają niechęć społeczeństwa do niego. Nie lubi ono wykorzystywania władzy do prywaty. Tymczasem wszystkie zabiegi Ziobry, żeby sprawiedliwość była po stronie swojego ministra, zostały tylko opisane w opozycyjnej prasie czytanej zaledwie przez elitę antykaczystów. Przeciwpisowa propaganda nie wykorzystwała akuratu tych zdarzeń, które ukazują pogromcę sądów jako szachraję i cwaniaczka. Chodzi zaś o to, że we własnej sprawie występuje zarażem jako pokrzywdzony i jako zwierzchnik

prokuratury. I że tak zmienił prawo, żeby w razie przegranej w sądzie nie płacił biegłym setek tysięcy za ekspertyzy. Wam kury szczać prowadzić, a nie propagandę robić, że odwołam się do słów waszego autorytetu.

36 lat temu zostałem rzecznikiem rządu gen. Jaruzelskiego. Każdy rzecznik jest gadającą głową, chyba że gadającym półgłówkiem. Już w tych zamierzonych czasach uprawiałem propagandę nie wprost. Jako jej instrumentu używałem zachodnich dziennikarzy, przekonanych, że służą tylko opozycji. Swymi pytaniami wywoływali oni tematy, których jako gadająca głowa rządowa nie mógłbym podnosić. Co równie ważne, zapewniali mi oni niesłychanie wielką słuchalność i oglądalność sięgającą 60 procent widzów TVP, kolego Kur-ski. Wzmagalem sztuczkami zaciekawienie ludzi naszą, a nie tylko zachodnią propagandą. Wysyłałem spiwory dla nowojorskich bezdomnych, ogłaszałem, że jadę do Monachium, żeby na antenie Wolnej Europy dyskutować z polską redakcją. Miałem zaproszenie dyrektora całego RWE, ale redakcja polska odmówiła dyskusji ze mną, zagroziła strajkiem, co nagłośniłem, mówiąc, że boję się dyskusji. Kopnąłem się ze skargą do USA, żalić się zarządowi amerykańskiej radiofonii nadającej na granicę, że ich rozgłośnia nie chce prostować oczywistej nieprawdy.

Chociaż na warszawskie konferencje prasowe w porywach przychodziło około stu zachodnich sprawozdawców, było mi tego za mało. Jeździłem odpowiadać na pytania dziennikarzy do głównych stolic Europy i chociaż konferencje te dotyczyły Polski, nigdzie nie mówiłem do prawie pustej sali. Wyjątkami Madryt i Rzym.

Po dziesięcioleciach pozostała pamięć o zawsze prawdziwym moim powiedzeniu: „Rząd się sam wyżywi”. Kto pamięta jakiegokolwiek słowa moich następców? Na ministra Bochenka media rzadko się powołują i najwyżej przez jeden dzień. Powtórzę:

propagandę robi się u nas tylko wprost, gadaniną. Wraz z PRL-em poszedł się jebać cały mój metodologiczny dorobek, który w dobie internetu można by pięknie rozwinąć do gnębienia PiS.

I nie ma tu nic do rzeczy to, że przez połowę mojego rzecznikowania już nie było czego bronić, tamten ustrój konał, naród miał rządzących dosyć. Motywowała mnie więc głównie solidarność z drużyną, w której gram jako napastnik. Walcząc o przegraną sprawę, robiłem jednak to samo, co polscy bohaterowie narodowi, uczestnicy wszystkich przegranych powstań, z góry beznadziejnych. To, co obrońcy Westerplatte i „żołnierze wyklęci”. Tyle że oni tracili życie, a ja posadę. □

sekr@redakcja.nie.com.pl



PRASA ŚNIADANIOWA

- **Rafał Ziemkiewicz** nazwał elity III RP coraz gorszym szambem, a jej dyskurs coraz smrodliwszą, toksyczną wydzieliną. Pierwsze miejsce dla red. Ziemkiewicza w konkursie poezji fekalnej gwarantowane.
- Elegancki **Jarosław Kaczyński** wręczył przebywającej w szpitalu premier Szydło bukiet herbacianych róż. Włożenie czarnego garnituru wydaje się jednak przedwczesne.
- **Beata Kempa** powiedziała, że Róża Thun prezentuje poziom trawy. Prawdopodobnie chodzi o kępę traw.
- **Prof. Jan Hartman** podziękował panu Misiewiczowi za dokonania na polu walki o uwolnienie Polski spod reżimu Kaczyńskiego. To jest Miś na skalę naszych możliwości!
- **Wojciech Cejrowski** odradza wszystkim wakacje na Kubie, gdzie w hotelu brakuje mydełek, szamponów i mięty do drinków. A bez mięty panu Wojciechowi wali z japy.
- **Łódzcy policjanci** na walentynki zorganizowali akcję „Zwolnij, jak kocha, to poczeka”. Za późno.
- Szefowa MEN **Anna Zalewska** zaapelowała, aby antykoncepcję i edukację seksualną zostawić rodzicom. Najbardziej poszkodowane będą dzieci państwa Elbanowskich.

MARTA M.

AGNIESZKA WOLK-LANIEWSKA

Na portalu Telewizji Republika nie-jaki Paweł Zastrzeżyński opublikował komentarz pod wiele znaczącym tytułem „Hołd dla Premier Beaty Szydło”. Hołd należy się premierzycy ze strony „do niedawna wykluczonych Polaków”, dla których szefowa rządu jest „wielkim dobrodziejem”, gdyż „pochyliła się nad nimi” i teraz – zamiast „żyć się upolowanymi psami” i dawać dzieciom zabawki, „które przez zamożne społeczeństwo zostałyby wyrzucone na śmietnik” – zabiera ją dzieci na spacer nad morze.

Hołd tych, którzy żywią się psami

„Jak dziękować w imieniu matki, której dwójka rodzonych dzieci mogła wrócić do domu?” – zapytuje pan Zastrzeżyński, który najwyraźniej daje sobie prawo do dziękowania w imieniu tych, „co nie mogą publicznie tego wyrazić”.

„Jak mogłyby dziękować ci prości i do niedawna zgnębieni i upokorzeni Polacy” – zastanawia się komentator Telewizji Republika (składnia oryginalna). I znajduje odpowiedź: „Czy słowo hołd nie jest tu najbardziej trafną formą wyrazu wdzięczności. Nie da się ująć w jednym obrazie tego uśmiechu radości, tych skromnych Polaków, ale można to wyraźnie zobaczyć. Jeżeli jest taka możliwość można uklęknąć i oddać hołd”.

Paweł Zastrzeżyński nie jest szczególnie istotną osobą. W swej notce biograficznej przedstawia się jako „reżyser filmowy”, choć wygląda na to, że w swoim 44-letnim życiu zrobił jeden film, a w zasadzie relację z domu Wandy Półtawskiej, jak wskazuje tytuł – „Jeden pokój” – nieskomplikowaną realizacyjnie. Ale kuriozalny komentarz pana Zastrzeżyńskiego godny jest uwagi, albowiem stanowi doskonałą ilustrację różnic między prawicą a lewicą.

Hołd tych, którzy są nierozgarnięci

Lewica uważa, że polityka społeczna jest obowiązkiem państwa, a także jedną z jego podstawowych funkcji. Redystrybucyjna rola budżetu polega właśnie na tym, iż środki uzyskane z podatków w progresywnej skali, obciążającej silniej osoby i przedsiębiorstwa o wyższych dochodach, przeznaczane są na pomoc społeczną, edukację, wyrównywanie szans – wszelkie formy zmniejszania głębokiego rozwarstwienia majątkowego, które uważamy

Telewizja Republika każe biednym ludziom modlić się do Beaty Szydło. Dosłownie.

Kłęknij przed broszką

za niemoralne, a także szkodliwe społecznie.

Prawica uważa politykę społeczną za formę dobroczynności: szlachetny akt szczodrego serca władcy, za który należy mu się wdzięczność poddanych.

Postulat kłękania przed Prezesem Rady Ministrów jest cokolwiek ekstremalny – ale ów koncept, iż biedni powinni być wdzięczni za to, że rząd robi coś na rzecz wydobywania ich z nędzy, jest głęboko wpisany w prawicowe myślenie. Wynika on z takiej feudalnej koncepcji, iż ludzie biedni są w jakiś sposób niedorozwinięci społecznie; że dopuszczalne, a nawet zasadne jest traktowanie ich w sposób protekcyjny. Że wymagają wychowania: stąd pojawiający się w myśleniu wielu publicystów podział na dobrych biedaków – czyli takich, którzy są ubodzy, ale dumni, nie proszą o pomoc, chcą pracować za każdą cenę; oraz biedaków złych, roszczeniowych, leniwych, takich, którzy oczekują, że „ktoś im coś da”.

Hołd tych, którym się należy

Optymistyczna wiadomość jest taka, że pod tym względem Polacy są zdecydowanie bliżej lewicy. Badanie CBOS sprzed kilku lat wskazuje, iż 95 procent rodaków uważa, że państwo ma obowiązek zapewnić każdemu obywatelowi minimalny dochód i bezpłatną służbę zdrowia; 84 procent sądzi, że każdy ma prawo żądać od państwa dachu nad głową; 81 procent – że państwo ma zapewniać wszystkim pracę zgodną z kwalifikacjami. Ponad połowa uważa, że Rzeczpospolita powinna każdemu obywatelowi zapewnić dobrobyt. Trudno nie dostrzec w tym pośmiertnego

triumfu Polski Ludowej, której w duszach Polaków nie pokonały 3 dekady propagandowej walki z „roszczeniowością”.

Płynię z tego jeszcze jedna optymistyczna myśl: otóż wszyscy, którzy sądzą, że wyborcy ponownie zagłosują na PiS z wdzięczności za „500 plus”, podwyższoną płacę minimalną czy obniżony wiek emerytalny – w mojej opinii głęboko się mylą. Jeśli Polak dostaje coś od państwa – to uważa, że mu się należało. Nikt nie będzie kłekał przed Beatą Szydło za to, że pozwoliła mu wyjechać z dzieckiem nad morze, bo wyjazd nad morze jest przyrodzonym prawem dziecka i jego rodziców, i to, że wreszcie ktoś zrobił to, co należało, to nie powód, żeby mu stawiać pomnik.

Jeśli PiS znowu wygra wybory – to nie z wdzięczności wyborców, tylko z braku alternatywy.

Oczywiście lubiłabym, żeby tę alternatywę stanowiła lewica. Kłopot w tym, że lewica miała 8 lat, żeby wprowadzić mechanizm choćby tak ograniczony jak „500 plus”. Nie w nadziei na wdzięczność wyborców, tylko dlatego, że tego typu rozwiązania – zmniejszające skalę ubóstwa skrajnego, zwiększające równość szans edukacyjnych, wymuszające zmiany na rynku pracy poprzez uwolnienie ludzi od desperacji, która kazała im pracować za każde pieniądze i w każdych warunkach – po prostu mieści się w lewicowej wizji państwa i systemie wartości.

Żyję nadzieją, że teraz, gdy już wiemy, że można, lewica – jakaś lewica – znajdzie w sobie potencjał do przedstawienia wizji europejskiego państwa sprawiedliwości społecznej.

Każdy może pomarzyć, nie?



awl@redakcja.nie.com.pl

Koguty komuny

W Polsce Ludowej prominentom zdarzały się oczywiście wypadki drogowe, nawet poważne. Jeden z wiceministrów rolnictwa w takim wypadku zginął. Ale wypadku podobnego do tego, który przytrafił się ostatnio pani premier w Oświęcimiu, nie było. Nawet chyba coś takiego wydarzyć się nie mogło. Z kilku powodów.

Oczywiście istniało Biuro Ochrony Rządu i otaczało opieką dość liczne, ale dużo mniejsze niż obecnie grono państwowych dostojników. Premiera i wicepremierów, niektórych tylko ministrów, członków Biura Politycznego PZPR i sekretarzy KC, szefów „sojusznicznych” stronnictw i niewiele więcej. Jeśli pominąć pierwsze lata powojenne, czasy zbrojnego podziemia, to obyczaj „ochroniarskie” w wykonaniu BOR były dość proste. Tylko kilka osób w państwie było ochraniających przez kilkuosobowe ekipy: I sekretarz KC, przewodniczący Rady Państwa, marszałek Sejmu, premier, ministrowie spraw wewnętrznych i obrony. Pozostali ochraniaani mieli dwóch lub częściej jednego oficera BOR, kierowcę oraz samochód. Nawet ci ochraniaani przez ekipy bardzo rzadko poruszali się kolumną złożoną z trzech samochodów – jedynie w czasie bardzo oficjalnych uroczystości oraz wizyt wysokich przedstawicieli zagranicznych, zwłaszcza wówczas, gdy trasa przejazdu była podawana do publicznej wiadomości. W innych, bardziej normalnych okolicznościach

korzystali z dwóch samochodów: pierwszym jechał prominent w towarzystwie głównego ochroniarza, a w drugim, zwanym „ogonowym” – 2-3 ochroniarzy. Gomułka, Gierek, Jaruzelski, Cyrankiewicz, Jaroszewicz w taki sposób poruszali się po Warszawie i w normalnych podróżach po kraju. Samochody BOR wożące najważniejsze osoby były wyposażone w „koguty” (światła sygnalizacyjne) i syreny, ale korzystano z nich tylko wyjątkowo. W razie potrzeby przebiecia się przez korek drogowy lub szczególnego pośpiechu. Ale i w takich przypadkach chętniej przywoływano asystę milicyjnego radiowozu, niż uciekano się do własnego „koguta”. Normalnie starano się podróżować dyskretnie, bez zwracania na siebie uwagi.

Wykluczona była jazda na sygnale i z kogutem po rodzinnej miejscowości i w celach prywatnych. Cyrankiewicz do Krakowa często jeździł sam, był świetnym kierowcą, z jednym „borowikiem” i jednym samochodem. Zdarzało mu się przekraczać dozwoloną szybkość. W jednej z anegdot drogówka zatrzymuje pędzącego znacznie powyżej setki mercedesa, rozeźlony sierżant ryczy na kierowcę: „Co, ty łysa pa... O, kochany nasz panie premierze!”.

Dochodziło do prób zamachów, dwukrotnie na Gomułkę na Śląsku. W obu przypadkach w czasie przejazdów bardzo oficjalnych i kolumnami. Obyło się bez ofiar. W PRL prominenci, nawet najwyżsi, nie jeździli samochodami opancerzonymi, lecz zwykłymi, choć wysokiej klasy – mercedesami za Gomułki, a peugeotami za Gierka. Owszem, w czasie stalinizmu, gdzieś ok. 1952 r. radzieccy „doradcy” do spraw bezpieczeństwa wymusili na ówczesnym kierownictwie partyjno-rządowym akceptację limuzyn pancernych, specjalnie skonstruowanych przez czeską firmę Tatra. Te kilkutonowe potwory były niewygodne i ciągle się psuły, miały za słabe silniki. Peerelowscy dygnitarze wykorzystali odwilż po śmierci Stalina, aby się ich pozbyć i z ulgą przesiąść się do merców.

Ówczesna promocja unikała ostentacji i wywyższania się wobec ogółu użytkowników na drogach i w miejscach publicznych. A ponadto, mimo że rządziła autorytarnie i niedemokratycznie, czuła się w swoim kraju zadziwiająco bezpiecznie i od „borowików” oczekiwała raczej bytowych ułatwień niż ochrony sensu stricto.

M.Z.

Dokończenie ze str. 1

pocztą elektroniczną. Zapytałem, w jakim stopniu drzewo może ucierpieć przy takim zderzeniu. Pancerna limuzyna poruszała się wszak w momencie wypadku z prędkością co najmniej kilkudziesięciu kilometrów na godzinę. Jakie szkody wywołało to w tym konkretnym drzewie, czy naruszyło jego strukturę i czy sorbent oraz wsiąknięte w ziemię olej silnikowy i paliwo są w stanie zaszkodzić drzewu. Czy drzewo uschnie, czy też da się je jeszcze uratować. I czy należałoby je wyciąć albo jakie działania lecznicze podjąć. Następnego dnia pan Łyszcz zamilkł – nie odbierał telefonu i nie odpisał na SMS.

Tu zawsze chłodne wiatry z pola zawiewają

Wszyscy znani polscy dendrolodzy spuścili mnie na drzewo. Najuczciwiej zachowała się pracownica jednego z biur, która odebrała telefon tuż przed 16.00. Powiedziała, że tu tylko sprząta i często ma kontakt z drewnem, dlatego życzy oświęcimskiej lipie dużo zdrowia.

Szczęściem w nieszczęściu było, że limuzyna premier Szydło przywalała w lipę zimą, gdy soki nie krążą wewnątrz drzewa. Problemy mogą się zacząć dopiero wczesną wiosną; dziura w korze jest bowiem znacznych rozmiarów. A kora chroni drzewo przed dostępem wywołujących infekcje grzybów, wirusów i bakterii. Teoretycznie wyrwę można posmarować maścią ogrodniczą, ale chuj wie, jaką i kiedy. No i nie wiadomo, jak cały powypadkowy syf w glebie wpłynie na korzenie drzewa.

Niektórzy ekolodzy polecają przytulanie się do drzew, głaskanie ich i mówienie do nich. Dobrze robić to

Szydło kosi lipę

ma jednak raczej ludziom, bo na pewno nie drzewom. Czułem się więc, jak gdybym prosił dziecko w ostatnim stadium białaczki o dorzucenie mi się do wakacji – ale mimo wszystko oświęcimską lipę przytuliłem. Co innego mi zostało – Szydło dostała najlepszych lekarzy, 21-latek z seicento wybitnego obrońcę. A całkowicie niewinną lipę pozostawiono samą sobie.

Tu słowicy, tu szpacy wdzięcznie narzekają

Na świecie są 3 biliony 40 miliardów drzew. Na każdego człowieka przypadają ok. 422 sztuki. Od początku ludzkiej cywilizacji, datowanej na 12 tysięcy lat, liczba otaczających nas drzew spadła o 46 proc. Dawno temu, gdy podróże odbywano konno, drzewa sadzono przy nieutwardzonych szlakach, aby w nocy i podczas śnieżyicy wskazywały linię drogi. Podczas upałów dawały ukojenie w cieniu, a w czasie wojen osłaniały ruchy wojsk.

O ile pomysł zastąpienia przydrożnych drzew krzakami, które nie ograniczałyby kierowcom pola manewru ani widoczności, wydawać się może z ludzkiego punktu widzenia słuszny, o tyle rzadko słyszy się, by to drzewo wjechało w samochód – za każdym razem jest odwrotnie.

Według najbardziej aktualnych danych w 2015 r. polska policja odnotowała 1769 przy-



Fot. MICHAŁ MARŚZAŁ

padków uszkodzenia drzew przez kierowców. 23 proc. tego typu zdarzeń kończyło się śmiertelnie – rzecz jasna, dla ludzi. Do Domu Pana dziecka badylom odeszło 405 osób. Statystycznie dużo większe szanse na przeżycie ma się w Polsce podczas zderzenia czołowego z innym autem. Przydrożne drzewa odpowiadają aż za 13,8 procent ogółu zabitych w wypadkach drogowych.

Jabłęk wprawdzie nie rodę, lecz mię pan tak kładzie

Drzewa mają z polskimi politykami od dawna na pieńku. Pierwszym z ważnych, który z ni-

mi zadarł, był premier Leszek Miller. 4 grudnia 2003 r. wybrał się na nieplanowaną wizytę gospodarską do lasu pod Piasecznem. W wyniku oblodzenia usterce uległy silniki transportującego go śmigłowca Mi-8 – ofiarą awaryjnego lądowania padło kilkanaście sosen. Następna była słynna smoleńska brzoza, rosnąca 856 m od progu pasa startowego tamtejszego lotniska. W odróżnieniu od całej polskiej delegacji przeżyła spotkanie na szczycie i mimo złamania części pnia do dziś wypuszcza pędy na wiosnę. Nieco inny, bo masowy charakter walki z zadrzewieniem podjął obecny minister środowiska o iglastym nazwisku Szyszko – z wykształcenia leśnik. Prowadzoną przez niego politykę określić można mianem „nie widzę lasu, bo drzewa mi zasłaniają”. W marcu zeszłego roku zdecydował się chronić Puszczę Białowieską poprzez jej masową wycinę.

Jako szczep najpłodniejszy w hesperskim sadzie

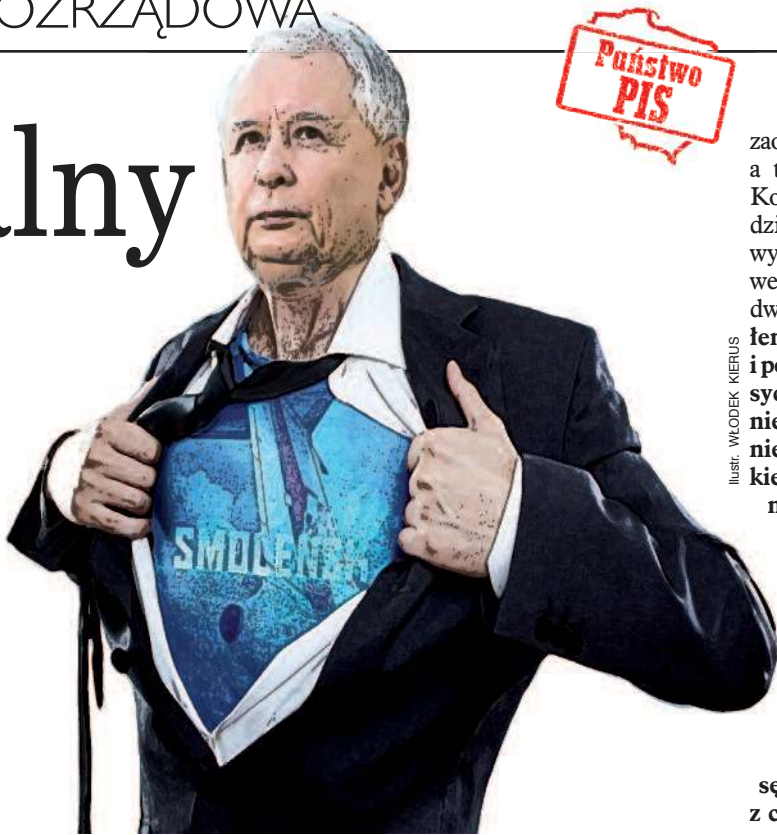
Po samochodowych wypadkach Dudy, Macierewicza i Szydło można mieć nadzieję, że nauka płynąca z katastrofy smoleńskiej znowu pójdzie w las. Gdy opadnie kurz po narobieniu lipy w Oświęcimiu, jakiś ważny pisowski polityk, śpiesząc się do domu albo do Rydzyska, nagnie procedury i zasili na zakręcie grono aniołków, na ich zresztą nieszczęście.

Stary radziecki dowcip z lat 50. opowiada o Żydzie, który na łożu śmierci poprosił rabina, aby ten zapisał go do partii komunistycznej: „Lepiej, żeby umarł jeden z nich niż jeden z nas” – argumentował.

Wyjątkowo nieodpowiedzialnych idiotów – w tym także tych drogowych – wypada więc serdecznie zaprosić w szeregi PiS. Choć może się okazać, że wszyscy już tam są.



michal@redakcja.nie.com.pl



ILUSTR. WŁODEK KIERUS

Uniwersalny trup

Pisowska propaganda chce zamknąć usta krytykom, posługując się trupem i jego zabójcą.

kę pod adresem rządu i partii przywołują wydarzenia sprzed siedmiu lat w Łodzi, strasząc kolejnym mordem.

...

Grudniowe protesty przed Sejmem Błaszczak skomentował tak: „Jeżeli będzie pobbłażanie, jeżeli będzie przyzwolenie do tego, to skończy się tragedią. W 2010 r. były działacz Platformy Obywatelskiej Ryszard Cyba w Łodzi zamordował pracownika biura poselskiego PiS. Dlaczego zamordował? Bo powiedział, że chciał zamordować Jarosława Kaczyńskiego. Wtedy też ta fala nienawiści była olbrzymia. A premier Donald Tusk nie przyznał renty specjalnej wdowie po Marku Rosiaku, świętej pamięci, bo powiedział, że, no, nic się nie stało. Nic strasznego się nie stało”.

Podobną ocenę sytuacji miała Beata Szydło: „To był pewien spektakl obliczony na to, by doprowadzić do obalenia rządu, miano nas zastraszyć. (...) Do biura Marka Rosiaka przyszedł tylko jeden człowiek. Każda agresja wywołana, by zniszczyć przeciwnika politycznego (...), jest niebezpieczna”.

...

Latem 2016 r. nasiliły się rasistowskie ataki na obcokrajowców mieszkających w Polsce. Na polityków PiS spływały się gromy, że swoimi szowinistycznymi wypowiedziami podgrzewają napiętą sytuację, dając przyzwolenie

nie na przemoc. Błaszczak zorganizował konferencję, na której kpił z ofiar, twierdząc, że „przestępstwa te stanowią zaledwie 0,1 proc. z ogólnej liczby ponad 500 tys. wszystkich przestępstw odnotowanych w tym czasie w naszym kraju”. Zamiast wyrazić współczucie ofiarom, zaatakował Rosiakiem: „Dziś słyszymy o pojedynczych incydentach, którymi oczywiście zajmuje się policja. Ale nie pamiętamy, że w październiku 2010 r. doszło do morderstwa z nienawiści w Łodzi. 62-latek z Częstochowy zastrzelił wtedy Marka Rosiaka, asystenta europosła PiS oraz ciężko zranił nożem inną osobę”.

Posłance Krystynie Pawłowicz nie spodobały się „Fakty” TVN. Do Krajowej Rady Radiofonii i Telewizji wysłała skargę, w której napisała m.in.: „»Fakty« TVN stwarzają atmosferę, która pobudzić może przeciwników obecnej władzy do działań tych, jakich dopuścił się Cyba na panu Rosiaku, asystencie posła PiS kilka lat temu, czyli do zbrodni”.

Gdy w listopadzie 2016 r. PiS przegłosowało ustawę demolującą Trybunał Konstytucyjny, przed Sejmem zebrała się grupa demonstrantów. Aby zożydzić protestujących, Pawłowicz nawiązała do śmierci partyjnego działacza: „To bojówka. Ludzie autentycznie naszczuci. Po raz kolejny tworzona jest atmosfera, która doprowadziła kilka lat temu do zabójstwa pana Marka Rosiaka. Znowu PO to tworzy”.

Po wypadku prezydenta Dudy na autostradzie A4 (w jego opancerzonej limuzynie pękła opona, a pisowska prokuratura wciąż nie może zakończyć

śledztwa) w internecie pojawiły się kpiące memy i złośliwe komentarze. Wicemarszałek senatu Adam Bielan stwierdził w TVPiS: „Ktoś, kto wypisuje takie rzeczy – a pojawiły się też nieprzypoite żarty związane z tym wypadkiem, również znanych osób publicznych – wyklucza się, stawia się poza nawiasem publicznej debaty. Myślę, że to jest niestety efekt olbrzymich emocji, które są w Polsce od wielu lat, emocji, które – przypomnę – 19 października 2010 r. doprowadziły już do morderstwa ma tle politycznym. Wtedy były polityk PO Ryszard Cyba zabił Marka Rosiaka w biurze poselskim Janusza Wojciechowskiego, krzycząc, że nienawidzi PiS i Jarosława Kaczyńskiego. I my z tamtego wydarzenia nie wyciągnęliśmy żadnych wniosków”.

Gdy nieznani sprawcy oblali czerwoną farbą elewację oraz drzwi wejściowe biur poselskich PiS w Szczecinie, Joachim Brudziński zorganizował konferencję, na której powiedział: „Mielśmy już jeden mord polityczny w naszym kraju – zamordowanie przez byłego członka PO naszego kolegi Marka Rosiaka w Łodzi. Czy poprzez tego typu akcje, wzniecanie złych i niepotrzebnych emocji chcemy doprowadzić do takiej eskalacji, żeby ktoś dajmy na to nie zrównoważony psychicznie (...), żeby ktoś inspirowany, czy kierowany falą nienawiści, dopuścił się kolejnego mordu politycznego”.

...

Rosiakiem, a właściwie Cybą, dostało się kobietom protestującym przeciwko

zaostreniu ustawy antyaborcyjnej, a także byłemu prezesowi Trybunału Konstytucyjnego, który krytykował działania PiS. Jan Pospieszalski, czołowy funkcjonariusz propagandy rządowej, powiedział w programie „Minęta dwudziesta” w TVPiS: „Obserwowałem mechanizm rozhuśtania emocji i podsycania nienawiści. Ludzie są nasyconci irracjonalnym hejtem i to jest niesamowite. (...) To jakieś pobudzenie! Ryszard Cyba to mentalność jakiegoś ormowca, człowiek, który się nakręca. (...) Czym się różni próba obarczenia Jarosława Kaczyńskiego winą za katastrofę smoleńską od przypisywania mu, że wprowadza faszyzm, że jest podobny do führera, porównania do hitleryzmu, stalinizmu... Tego nie robi Cyba, ale Jerzy Stepien, który porównuje sytuację w Polsce z czasami stalinowskimi! To robi sędzia, który porównuje sytuację z czasami hitlerowskimi. Przecież teraz mamy do czynienia z tym. 3 godziny przed protestem przed domem Jarosława Kaczyńskiego jedna z telewizji nakręca ten protest, mówi, że przyzwoite dziewczyny powinny tam być”.

Na Facebooku zamieszczono obraźliwe słowa pod adresem wiceministra obrony narodowej Bartosza Kownackiego. Oczywiście miał on już gotową teorię na ten temat. Według niego to sprawka KOD. „Nie wiadomo, czy nie skończy się to dramatycznie w stosunku do kogokolwiek, nie mówię akurat o sobie. Cały czas mamy w pamięci pana Marka Rosiaka, wiemy więc, do czego ta propaganda nienawiści doprowadziła wcześniej. Korelacja z ostatnimi wydarzeniami pokazuje, że zasiane ziarno nienawiści daje dzisiaj efekty” – twierdził Kownacki.

...

O tym, że krew pisowskiego rycerza zostanie wkrótce przelana, przekonany jest wicepremier i minister kultury Piotr Gliński, który wypowiedział złowieszcze słowa: „To przerażające, że nienawiść jest w Polsce wciąż używana jako narzędzie walki politycznej. Pan Rosiak padł ofiarą człowieka, który uległ tym emocjom, tej nienawiści. W każdej chwili może nastąpić kolejny mord polityczny, jestem przekonany, że – niestety – jest takie zagrożenie”.

Jak widać, Kaczyński i spółka nie mogą żyć bez trupów. Te smoleńskie już się zużyły, a Rosiak wkrótce przestanie robić wrażenie. Aby istnieć w polityce, muszą mieć kolejnych męczenników.

ANDRZEJ SIKORSKI
sikorski@redakcja.nie.com.pl

Podczas konferencji prasowej, na której opinia publiczna miała poznać szczegóły wypadku Beaty Szydło, minister Błaszczak wypalił ni z gruszki, ni z pietruszki: „Ten wypadek stał się tak sławny, także z powodu tego, że stał się kolejną falą hejtu, kolejną falą ataku, również ze strony osób publicznych, ze strony tych, którzy siebie nazywają totalną opozycją. Przestrzegam i apeluję o to, żeby ważyć słowa, o to, żeby nie powtórzyły się zdarzenia z jesieni 2010 r. Wtedy też ta fala agresji i fala przemocy była bardzo silna. Skończyła się tragicznie. Doszło do zamordowania działacza Prawa i Sprawiedliwości w Łodzi. Apeluję do pań i panów polityków o wyważone komentarze, o nieescalowanie napięć”.

Marek Rosiak był asystentem europosła Janusza Wojciechowskiego. Został zastrzelony w październiku 2010 r. przez Ryszarda Cybę, który wtargnął do biura poselskiego i ciężko ranił również innego pracownika. Sprawca został skazany na dożywocie. Z wyjaśnień złożonych przez Cybę wynikało, że już w 2007 r. podjął decyzję, żeby zaprotestować przeciwko temu, co dzieje się w kraju, i zaczął zastanawiać się nad tym, żeby zabić polityków z różnych partii politycznych. Uważał, że w ten sposób osiągnie swój cel, że coś się w kraju zmieni. W 2010 r. przygotowywał zamach na życie Jarosława Kaczyńskiego, z planu jednak nic nie wyszło, postanowił więc zabić inne osoby związane z PiS. Było mu obojętne, kogo pozbawi życia.

...

Ani w trakcie śledztwa, ani podczas procesu nie udowodniono, że Cyba dopuścił się zbrodni w związku z hejtem wobec PiS. Sąd, charakteryzując oskarżonego, stwierdził, że cechuje go postawa silnie egoistyczna i egocentryczna, a inne osoby traktuje przedmiotowo i nie akceptuje odmiennych poglądów. Jego procesy myślenia charakteryzują się dużą dozą prymitywizmu. Gdy go aresztowano, stwierdził, „że chętnie zająłby wieloosobową celę, aby mógł w niej kogoś zamordować”. Zdaniem sądu, „w postawie oskarżonego istotnym elementem jest potrzeba autoprezentacji, zaistnienia, chęci zdobycia sławy”.

Pisowscy propagandiści wpadli na przewrotny pomysł, jak wykorzystać partyjnego trupa do walki politycznej. Stworzyli kłamliwą teorię, że Cyba zamordował Rosiaka sprowokowany falą hejtu wobec PiS. Teraz na każdą kryty-

Bezczelny Błaszczak zbija kapitał polityczny na śmierci policjanta.

10 lutego 2017 r. na warszawskiej Woli szef MSWiA urządził sobie tzw. ustawkę. W świetle kamer i błysku fleszy przed tablicą upamiętniającą policjanta Andrzeja Struję oddał zamordowanemu. Do tragicznych wydarzeń doszło w lutym 2010 r. na przystanku tramwajowym. Jeden ze stojących przy wiacie mężczyzn rzucił w wagon koszem na śmieci. Zareagował wychodzący z tramwaju funkcjonariusz, który został zaatakowany i ugodzony przez napastnika nożem. Mimo szybko udzielonej pomocy lekarskiej Struj zmarł.

Od 1990 r. w Polsce na służbie zginęło około 80 policjantów. Co kilka dni przypada rocznica śmierci któregoś z nich. Choć Błaszczak ministrem jest już ponad rok, nie ma w zwyczaju czczenia pamięci funkcjonariuszy. Jak się dowiedzieliśmy, uroczystość nie była przypadkowa, ale starannie zaplanowana. Błaszczak chciał zdobyć poklask opinii publicznej i pokazać, że pamięta o bohaterze, który zginął za rządów nieudolnej Platformy. Szkokuje nie tylko bezczelne granie na emocjach, ale też wykorzystywanie tragicznej śmierci do politycznych celów.

Uroczystość z udziałem Błaszczaka miała być pokazywana w TVPiS, ale wypadek Szydło pokrzyżował plany. Policjanci, z którymi rozmawiałem, nie kryją oburzenia. Okazuje się, że szef MSWiA ma bardzo wybiórczą pamięć i wrażliwość. Policjantów, którzy zginęli przez pisowską butę, arogancję i łamanie przepisów, woli nie wspominać.

W biurze prasowym MSWiA zapytałem, czy minister był na grobach Justyny Zawadki i Tomasza Twardy. Odpowiedź nie nadeszła.

W nocy z 1 na 2 grudnia 2006 r. Tomasz Serafin, dyrektor Departamentu Bezpieczeństwa Pu-

Błaszczak przebiera w trupach

blicznego MSWiA, bawił się w towarzystwie kolegów z ministerstwa na suto zakrapianej imprezie w jednym z warszawskich klubów. Rządziło wtedy PiS, szefem MSWiA był trzeci bliźniak Ludwik Dorn, a jego zastępcą Jarosław Zieliński, który teraz też jest wiceministrem. Błaszczak był szefem kancelarii premiera.

Ponieważ Serafin nie zdążył na nocny pociąg do Siedlec, poprosił szefa komisariatu na Dworcu Centralnym, żeby załatwił mu transport do domu. Ten, łamiąc wszelkie procedury, wydał rozkaz 28-letniej Justynie Zawadce i 33-letniemu Tomaszowi Twardzie, aby zamiast pilnować porządku, odwieźli pijanego dygnitarza zgodnie z jego życzeniem. Pojechali nieoznakowanym rozklekotanym polonezem, bez radiostacji. W drodze powrotnej doszło do wypadku: z nieustalonych przyczyn samochód wypadł do przydrożnego bagna. Przez 3 dni trwały poszukiwania policjantów. Nikt nie wiedział, co się z nimi dzieje i gdzie są. Akcję poszukiwawczą wszczęto z kilkugodzinnym opóźnieniem. Zanim do tego doszło, Serafin próbował odnaleźć policjantów na własną rękę. Z billingów telefonicznych wynikało, że rozmawiał w tym czasie z gen. Romanem Polką, a także z ówczesnym szefem BBN Władysławem Stasiakiem i wiceszefem MSWiA Markiem Surmaczem (teraz pisowska władza zrobiła go komendantem OHP – przyp. A.S.).

Gdy wszyscy zachodzili w głowę, co się wydarzyło, do mediów trafiały nieprawdziwe infor-

macje, że zaginięni policjanci wykonywali rzekomo zadania zlecone przez MSWiA, a Serafin przebywał na delegacji zagranicznej. Poseł Marek Biernacki nie zostawił suchej nitki na PiS: „Widać, że sprawę próbowano tuszować, że to policjanci ją nagłośnili, wskazali na wielki skandal, jaki się dzieje”.

Rozpatrywano różne wersje, łącznie z tą, że Twardo i Zawadka uciekli za granicę. Rodziny i bliskich zaginionych poddano wielogodzinnym przesłuchaniom, przeszukano ich mieszkania. Próbowano nawet rozpruć pluszowe zabawki 3-letniej córki Tomasza Twardy. Jego żona mówiła, że podczas przesłuchań policyjny psycholog chodził za nią nawet do toalety. Czuli się, jak gdyby to ona miała coś wspólnego z zaginięciem męża.

W trzecim dniu zakrojonych na szeroką skalę poszukiwań przypadkowo przechodzień zauważył w przydrożnym bagnie coś ciemnego wystającego z wody. Podszedł bliżej, okazało się, że to opona zatopionego i wywróconego do góry kołami policyjnego poloneza. Na pomoc było już za późno.

W trakcie śledztwa zaczęły się machinacje. W obronie Serafina stanął Surmacz. Media informowały, że wywierał naciski na komendanta głównego policji, by odstąpiono od przesłuchania Serafina. Surmacz bagatelizował zdarzenie i bronił kumpla. Serafin zaś nie chciał zdradzić, z kim pił wodę feralnego wieczoru. Ustalono jedynie, że stolik, przy którym siedział, był zare-

zerwowany na 15 osób. „Przypadkiem” skasowano nagranie z monitoringu lokalu. Prokuratura oskarżyła Serafina i komendanta komisariatu kolejowego tylko o przekroczenie uprawnień. Śledczy nie mieli wątpliwości, że gdyby nie ich zachowanie, nie doszłoby do tragedii. Krzywdą im się nie stała. Otrzymali wyroki w zawieszeniu.

Pod przeprowadzonym audycie wyszło na jaw, że za rządów PiS dygnitarze nagminnie korzystali z policyjnych patroli jako prywatnych taksówek, nazywając ten nielegalny proceder „Blue taxi”. Dzień przed tragiczną śmiercią policjantów z komisariatu na dworcu Centralnym Surmacz zadzwonił do oficera dyżurnego komisariatu kolejowego we Wrocławiu z rozkazem dostarczenia przejeżdżającej przez Wrocław pociągiem wiceminister pracy Elżbiecie Rafalskiej dwóch wieśniaków, sałatki i napoju. Oficer pilnie zanotował dyspozycję. Natychmiast oderwał od pracy dwóch funkcjonariuszy. „Wydał im polecenie dostarczenia hamburgerów z MacDonalda do wagonu pani minister. Zdążyli, już czekali z kanapkami, gdy pociąg zatrzymał się na peronie” – opisywał sprawę „Dziennik”.

Bezsensowna śmierć policjantów wpisuje się jak ułamek w katastrofę smoleńską, a także wypadki samochodowe Dudy, Macierewicza i Szydło. Pisowska władza nie potrafi wyciągać wniosków z tragicznych zdarzeń, ale za to do perfekcji opłanoła żerowanie na nieszczęściu.

A.S.

Konflikt banksterów z frankowiczami to wojna totalna, toczona na wielu frontach.

TANGO Z FRANKIEM

Banki masowo zaczynają przegrywać w sądach z frankowiczami. Ugruntowuje się linia orzecznictwa, którą w najprostszy sposób wyraził sędzia Krzysztof Rudnicki z Sądu Okręgowego Wrocławiu: „Według załączonego do pozwu wyciągu z ksiąg bankowych zobowiązanie pozwanych miałyby obejmować: 72 438,62 zł z tytułu kapitału kredytu... kwota ta musi zostać uznana za wadliwą – zgodnie z umową z dnia... kredyt opiewał na 45 000 zł... z biegiem czasu kapitał kredytu mógł tylko maleć w związku ze spłatą kredytu, a nie rosnać” (sprawa IC 847/16).

Ogromnie pomocny w walce z bezprawiem bankowym okazał się też Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. 4 banki – Millennium, mBank, DNB oraz BPH – na podstawie orzeczeń Sądu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, mają wpisane klauzule odwołujące się do kursów walut (kupna lub sprzedaży) jako figurujące w rejestrze rejestru postanowień niedozwolonych UOKiK. Nieuczciwy charakter tych postanowień został powyższymi wyrokami przesądzony. Dzięki temu sąd nie ma potrzeby prowadzenia postępowania dowodowego, w tym z przesłuchania świadków, dowodów z opinii biegłych czy dokumentów, często wnioskowanych przez prawników banków. „Jeśli dodatkowo sąd przesłucha powoda na pierwszej rozprawie, to możliwe będzie zakończenie sprawy frankowej nawet w kilka miesięcy po wniesieniu pozwu, co będzie zgodne z postulatem ekonomii postępowania” – wyjaśnia mecenas Barbara Garlać, radca prawny specjalizujący się w problematyce kredytów walutowych. W kręgach bankowych Garlać uchodzi za uosobienie zła, gdyż z prawników bankowych robi popisową miazgę.

Ludzi nie można oszukiwać

Lobby bankowe oczywiście nie ustaje w wysiłkach mających na celu powstrzymanie katastrofy. Jak się udało wpłynąć na prezesa Polski, żeby oficjalnie wycofał się z obietnic wyborczych, pozostanie słodką tajemnicą politycznych kuliarów. Być może ma w tym jakiś udział wicepremier Morawiecki, były prezes banku i posiadacz akcji BZ WBK. Faktem jest, że Jarosław Kaczyński w wywiadzie dla radiowych „Sygnałów dnia” nie pozostawił złudzeń: „Frankowicze powinni wziąć sprawy we własne ręce i walczyć w sądach. Nie dlatego, żeby nie ufać prezydentowi czy rządowi, ale dlatego że prezydent i rząd są w sytuacji, która jest zdeterminowana uwarunkowaniami ekonomicznymi. Rząd nie może podejmować działań, które doprowadzą do zachwiania systemu bankowego”.

Jak podał portal Money.pl, po oświadczeniu Kaczyńskiego, że frankowicze zostają na lodzie, na giełdzie zapanowała powszechna radość, gdyż znacząco podskoczyły ceny akcji banków. Wartość akcji, które posiada wicepremier Morawiecki, urosła o 22 proc.: z 3,84 mln zł do 4,61 mln zł.

Przed wyborami Kaczyński, Szydło, Duda, Szałamacha i wielu innych prominentnych działaczy Prawa i Sprawiedliwości obiecywali frankowiczom pomoc. Ale wiadomo: co innego politycy pitola w kampanii, co innego robią. Jednak na kwietniu 2016 r., a zatem po ponad pół roku rządów PiS, obietnice te zostały twardo i bezwzględnie potwierdzone. Kaczyński, odpowiadając na pytanie braci Karnowskich („wSieci”) o rozwiązanie problemu kredytów frankowych i tzw. polisolokat, mówił: „Ludzi nie można oszukiwać, a państwo ma obowiązek ludzi



przed lichwą i takim wyzyskiem bronić”. Po czym dodał: „Obiecuję, że bez względu na różne opory i płacze, zapewne także w naszym obozie, uwolnimy Polaków z tej niewoli”.

Klasyczny przykład, jak zrobić sobie z gęby śmierzdzącą cholewę.

Rychło w ślad za wypowiedzią prezesa nadeszła oficjalna interpretacja wyborczego łgarstwa. – Oszukaliście frankowiczów? – dociskała red. Beata Lubecka w programie „Graffiti” (Polsat News) Henryka Kowalczyka, szefa Komitetu Stałego Rady Ministrów.

– Nie oszukaliśmy, tylko nie wprowadziliśmy wszystkich rozwiązań – odpowiedział Kowalczyk.

I dodał, że ingerencja państwa „byłaby niebezpieczna dla systemu bankowego oraz oznaczałaby nierówne traktowanie innych kredytobiorców”.

Sprzedawcy garnków

Skoro jednak sprawy w sądach toczą się pomysłnie dla frankowiczów, to może prezes Polski

ma rację? Po co w to mieszać ustawodawcę, skoro działa wymiar sprawiedliwości?

Otóż nie. Nie ma racji, bowiem to

banki są najbardziej wpływowym i bezwzględny graczem, a sądownictwo, stale osłabiane przez tego właśnie Kaczyńskiego i jego drużynę, może mieć ogromny problem z zachowaniem niezawisłości.

Środowisko sędziowskie musi zwracać baczną uwagę na potencjalne konflikty interesów we własnym gronie. Niedopuszczalne jest, aby wyroki w sprawach przeciwko bankom wydawał sędzia, który np. wcześniej sporządził płatne ekspertyzy dla Związku Banków Polskich albo pełnił funkcję arbitra przy ZBP. A tak się niestety

zdarzało. PiS w swoim pędzie do państwa autorytarnego usiłuje pacyfikować niezależne sądownictwo, a argument zblatowania sędziów z lobby bankowym jest dla funkcjonariuszy „dobrej zmiany” wprost wymarzony. Po cholerę dawać im pretekst? A tymczasem podstępna praca nad umysłami sędziów już się zaczęła.

9 grudnia 2016 r. odbyła się konferencja naukowa Katedry Prawa Cywilnego Uniwersytetu Warszawskiego pod skomplikowanym tytułem: „Skutki kontraktowe uznania postanowienia umowy za niedozwolone w relacjach między konsumentem a przedsiębiorcą w świetle europejskiego prawa konsumentów”.

Zaproszono sędziów specjalizujących się w prawie bankowym z całej Polski, którzy przybyli gromadnie, licząc na udział w naukowym sympozjum. Trzeba przyznać, że większość z nich zapewne nie miała pojęcia, w czym bierze udział. Okazało się, że zorganizowane przez Uniwersytet Warszawski posiedzenie w znacznej części było nachalnym kursem dla sędziów, jak wydawać wyroki korzystne dla banków, a niekorzystne dla konsumentów.

Dokładną relację minuta po minucie można znaleźć na blogu Ryszarda Styczyńskiego – prawnika specjalizującego się w obnażaniu oszustw bankowych. Styczyński pisze, że konferencję można podsumować następującym stwierdzeniem: „Stosowanie krajowych przepisów ochrony konsumenta musi zostać złączone w celu zachowania stabilności systemu finansowego. Zadaniem tym mają się zająć sądy powszechne lub też ustawodawca”. Styczyński obrazowo charakteryzuje też oryginalną atmosferę sympozjum: „Było to troszkę jak darmowa wycieczka autokarem do Krakowa w towarzystwie sprzedawcy garnków. Słuchać się nie da, ale wyjść też nie za bardzo można”.

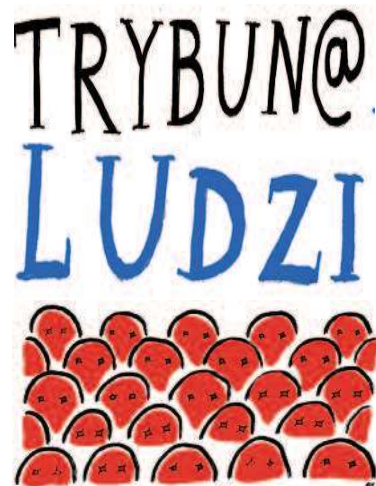
Konferencję zakończył oczywiście wystawny lunch. Uniwersytet Warszawski w połowie zeszłego roku zawarł umowę sponsorską z bankiem Millennium.

Niech banki płacą

Przypomnijmy. Poszkodowani przez banki twierdzą, że kredyty we frankach tak naprawdę nie są kredytami, tylko ryzykownymi instrumentami finansowymi. Co ciekawe, ryzyko w tej grze spoczywa wyłącznie po jednej stronie. Banki zabezpieczyły siebie, a klientów już nie raczyły. Frankowicze nie oczekują żadnej pomocy finansowej ze strony państwa. Chcą natomiast respektowania prawa i ochrony przed bankami. Skoro umowy kredytowe zawierały klauzule abuzywne (niedozwolone), to tak naprawdę nie były umowami kredytowymi, tylko bliżej nieokreślonym produktem, którego bank nie miał prawa sprzedawać. Potwierdzają to kolejne wyroki sądów. Można oczywiście z każdą kolejną umową iść do sądu, koszty procesów i obciążenie sądów będą ceną, jaką będą musieli ponieść poszkodowani i skarb państwa. Nikt nie jest też w stanie zagwarantować, że sędziowie kiedyś w końcu nie ulegną ogromnej presji i nie zmienią orzecznictwa. Z jednej strony urok bogatej finansjery, z drugiej politycy straszący „zachwianiem systemu bankowego”... Dlatego w interesie obywateli było rozwiązanie tego problemu systemowo, na poziomie ustawy – tak, by większa odpowiedzialność za frankowy szwindel spadła na banki. Tego domagają się poszkodowani, to im obiecał prezydent Duda i to obiecała premier Szydło, a przede wszystkim obiecał prezes Polski Jarosław Kaczyński. Skoro jednak nie mają zamiaru słowa dotrzymać, niech chociaż mocą instytucji państwowych zagwarantują sędziom pełną niezależność i nie podważają na każdym kroku ich autorytetu. Starcia z potęgą lobby bankowego mogą nie wytrzymać nie tylko poszczególni obywatele czy politycy, ale i sędziowie.

ANDRZEJ ROZENEK

andrzej.rozenek@redakcja.nie.com.pl



Władcy! Dróg i przestworzy!

Facebook

Konrad Kozłowski: Idealny czas, aby przypomnieć sobie o naszych wspaniałych amfibiach – Rosomak. W nich śmiało można rozjeżdżać okolicznych mieszkańców i niewygodnych świadków.

Konrad Wyczółkowski: Dlaczego pancerny samochód nie ściął jak kosa zboże „pancernego” drzewa i nie pojechał dalej?

Mirosław Gluchowski: Bogowie wiatrów, pękniętych opon i brzoź sprzyjęli się przeciwko Dobrej Zmianie, qrrrr...

Jan Kowalski: Drogami rządzi minister demontażu zbrojeniowej infrastruktury, a niebo zostawcie kaczkom.

Anna M. Kotulska: Kaczor, skrzydlaty władca świata bez granic...

Bartosz Oleksy: Kierowcy! Bombowców! Arystokraty szos!

Forum

Sindbad: Z drogi śledzie, bo VIP jedzie.

Barycki: Urban, mały palanciku, nie znudziła Cię jeszcze ta infantylna uciecha z polskiej hołoty?

st1111: Czy to nie podejrzane, że osoby zaliczające 7 mszy tygodniowo mają tyle wypadków?

stary praktyk: Następny, który daje się robić w chuja:

Widziałeś Pan durnia – który zarabia lepiej od Pana?!

Którego ochrania paru speców za pańskie podatki?!

I którego wożą drogimi lemuzykami z i do roboty...?! I też za pańską kasę?!

A widzisz?!

I kto tu dureń?!

Korbaczka: Bilet miesięczny w łapę i komunikacja publiczna.

Bez ulgi.

Strona www

BOG: Okazuje się, że bezpieczniejsz podróżować z kierowcą mającym 3,5 promila niż w kolumnie rządowej.

Mvoda: Ballada o tych, co się drzewom nie kłaniali.

Demon: Buk pokarał pierdolone bydło. Tak wkurwiają, że trudno kurwa bez kolokwializmów. Za moje pieniądze do chuja walca.

Bolo co go nery bolo: Zamach jak w mordzie strzelił! BORze coś Polskę.

Qqf: Konno! To może konno niech jeżdżą.

Dżajkel Mekson: I na chuj komu pucz?

Wypowiedzi pochodzą z forum internetowego tygodnika „NIE” i Facebooka.



Pomoc państwa dla solidarów na własnych żołądkach doświadczających wad ustroju, o który się bili, to nie nasza bajka. Warto jednak jej posłuchać.

„Wy też macie nas gdzieś? Czy jest tak z powodu kompleksu, że wszystko, co i wy macie, nam zawdzięczacie?” – napisał Andrzej Rozpłochowski, prowokując dyskusję wśród kombatanatów pierwszej „Solidarności” na temat dobrej zmiany.

Kamienie. Rok 1980. Huta Katowice. Rozpłochowski, nikomu nieznany maszynista lokomotyw spalinowych, stanął na czele strajku.

– Aż do zwycięstwa – podkreślił. – Jak my tu w Polsce walniemy pięścią w stół, to moskiewskie kuranty zagrają Mazurka Dąbrowskiego!

Zyleta. I potrafił pociągać za sobą tłum. Kryptonim operacji SB przeciwko niemu – „Lider”. Trzeba „organizować działania specjalne i operacyjne mające na celu (...) wyeliminowanie go z władz »Solidarności«”. Spreparowane pornograficzne zdjęcia dostarczono chorej matce. Rozpuszczono informacje o libacjach i nadużyciach.

W 1982 r. zwolniono z internowania prawie wszystkich. Rozpłochowski był wśród jedenastu osób, elity oskarżonej o „próbę obalenia ustroju PRL siłą”. Siedział do amnestii w 1984 r.

W 1988 r. wyjechał do USA. Czy znów stanałby na czele robotników, gdyby nie opuścił kraju?

– Wiedziałem, że szykuje się coś wielkiego – przyznał.

I jeszcze: rozpieprzyłbym ten Okrągły Stół. Ale żona zachorowała. W polskich warunkach nieuleczalnie. To ona była najważniejsza.

Wynajmował się do każdej pracy, żeby sfinansować operację. Był mechanikiem i strażnikiem w szpitalu psychiatrycznym. Po pięciu latach rodzina dostała amerykańskie obywatelstwo.

Głodny styropian

W pierwszy dzień świąt Bożego Narodzenia 2006 r. zadzwoniła znajoma.

– Wiesz, twoja żona z początkiem stanu wojennego została tajnym współpracownikiem SB. Z Basi zrobiłi „Krysię”. Wolę, żebyś usłyszał to ode mnie. Z materiałów SB wynika, że domagała się gratyfikacji. Np. dwóch paczek kawy...

Rozeszło się, że także ojciec współpracował z UB, a potem z SB. Nagrywał każde słowo syna.

Wrócili do Polski. Ojciec nie żył. Żona przysłała się do współpracy.

– Ta prosta kobieta może być wzorem dla wielu innych, podobnie jak ona upadłych i zaplątanych ludzi z najwyższych nawet naszych świeckich i duchownych elit, którzy dzisiaj takiej uczciwości nie wykazują. Dlatego nie umiem podnieść kamienia i ukamieniować jej. Próbę takiego osądu pozostawiam innym. Pod publiczny osąd oddaję również moją w tej sprawie postawę – oświadczył.

Bocznica. Na list Rozpłochowskiego z początku lutego 2017 r., rozesłany do znajomych („proszę się czuć swobodnym w jego rozpowszechnianiu”), zareagował m.in. dr inż. Krzysztof Borowiak z Poznania.

„Gdybym nie żył oszczędnie, odkładając na czarną godzinę, to pozostając blisko 5 lat bez pracy (wysłałem w tym czasie blisko 2 tysiące aplikacji o pracę!), musiałbym z pozostającymi na moim utrzymaniu żoną i dwójką najmłodszych dzieci chyba ściany gryźć... Dobra zmiana? Wolne żarty...” – napisał.

Borowiak też walczył z komuną. W odwecie wywalony z uczelni w styczniu 1988 r., na 23 dni przed obroną doktoratu. Nie jest z tych, którym restrykcje trwale uniemożliwiły zdobycie tytu-



RYG. TOMASZ WALTER

łu naukowego. 2 fakultety, doktorat. Członek ZChN, współtwórca Akcji Polskiej. W tamtych czasach poznał Antoniego Macierewicza.

W nowej Polsce wygrał konkurs na dyrektora Departamentu Nauki i Szkolnictwa Wojskowego MON. Rządził krótko. Przygotowana przez niego reforma nie znalazła uznania w oczach ministra Bronisława Komorowskiego.

– Godziła w interesy WSI – uważał Borowiak.

Dyscyplinarka. Bezprawna – oceniły sądy, z Najwyższym włącznie.

Borowiakowi wiodło się dobrze. 20 lat na kierowniczych stanowiskach. Wyjechał z zarządu Grupy Enea, gdy zawiadomił ABW o podejrzeniach ustawienia przetargu na zakup liczników.

– Wróciśz do zapoczątkowanej reformy – obiecał Macierewicz w swoim biurze 25 czerwca 2015 r., przed ostatnimi wyborami. Tak w każdym razie pamięta tę rozmowę Borowiak.

– Reforma była dobrze oceniona przez Sztab Generalny. Zauważono przez NATO.

Na obietnicach się skończyło.

Odnaczenia i akademie. Takich ludzi jest więcej. „Nas nie kochają za bardzo i myśleli, że już wszyscy

wachamy kwiatki, nawet organizacje solidarnościowe, których w Polsce jest jak nasrał”. – To słowa Andrzeja Pietrzyka, byłego szefa Międzyzakładowego Komitetu Koordynacyjnego „S” w Ustrzykach Dolnych. Internowanego w Uhercach.

Liczyli, że jak władzę obejmie PiS, coś się w ich życiu zmieni. W najgorzszym razie rząd wprowadzi miesięczne świadczenie dla wszystkich kombatanatów w wysokości 400 zł. „Czy wiecie, że wielu z nas, nawet jeśli dostanie te 400 zł miesięcznego świadczenia, to i tak będzie miało dochód poniżej 2 tys. zł na miesiąc? (...) Czy wy wszyscy tam, na szczytach władzy, wstydu nie macie i nie boicie się Boga?” – to Rozpłochowski.

– Jest dla mnie upokarzające, że rozmawiam z tygodnikiem „NIE”. Ale tygodnik „Niedziela” czy telewizja Kurskiego nie chcą nas wysłuchać – zaczyna Piotr, nazwisko do wiadomości redakcji. Też solidarnościowy kombatan. – Dla Misiewiczów wystarcza. Dla nas nie. Wiele z nas ledwo utrzymuje się na powierzchni. Przejrzałe pomidory od zaprzyjaźnionego właściciela jarzyniaka. Po 2 plasterki najtańszej szynki na niedzielę...

Wpadło im „trochę odznaczeń, akademie, poklepywanie po plecach i pozowanie do wspólnych zdjęć...”.

Borowiak ma status działacza opozycji antykomunistycznej (legitymacja nr 46). Odnakę honorową z tego samego tytułu (legitymacja 73). Kilka tygodni temu dostał od Dudy Krzyż Wolności i Solidarności (nr legitymacji 127-2016-1).

W 2016 r. weszła w życie ustawa ustanawiająca status weterana opozycji antykomunistycznej. Daje możliwość pomocy osobom w najtrudniejszej sytuacji materialnej. Opozycjoniści mogą liczyć na jednorazową pomoc finansową np. na zakup sprzętu rehabilitacyjnego lub otrzymywać świadczenia. Jednak tylko najbiedniejsi. Dodatek w wysokości 400,96 zł należy się osobom, których dochód nie przekracza 1059,07 zł. Dodatki do mieszkań, pierwszeństwo do opieki społecznej, zniżki na komunikację zależą od dobrej woli samorządów.

PiS obiecało ulepszyć prawo, tak aby pomoc objęła większą grupę osób i nie miała charakteru pomocy socjalnej. Projekt zmian przygotował Senat. Zakłada zmianę progów dochodowych warunkujących wsparcie i podwyższenie dodatku do poziomu połowy najniższej emerytury.

Projekt wpłynął do Sejmu 28 września 2016 r. Jarosław Kaczyński nie uznał go za ważny, spoczął więc w komisji polityki społecznej i rodziny.

Rozpłochowski podobnie.

Zastanawiają się, kto z rządzących siedział w więzieniu, był dręczony, bity, wyrzucany z pracy. Od Andrzeja Dudy nie ma co wymagać. Przed 1989 r. działał, ale w strukturach ZHP Beata Szydło miała inne zainteresowania. Nawet Jarosław Kaczyński za mało rzucał się w oczy, żeby trafić do internatu.

„Może należą do tych, co myślą zbyt samodzielnie i nie lubią odruchów stadnych, może komuś nieimiła była krytyka niektórych postaw realizatorów dobrej zmiany, czemu dawałem publiczny wyraz w internecie?” – Borowiak wciąż rozważa, dlaczego znalazł się w odwstawce.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Sakiewicz Michnikiem

Wyobrażacie sobie, że naczelnym „Gazety Wyborczej” jest naczelny „Gazety Polskiej”? To zacznijcie sobie wyobrażać!

Dla rządu PiS publiczne pieniądze znajdujące się pod zarządem prywatnych firm są łakomym kąskiem. I dlatego los Otwartych Funduszy Emerytalnych po 25 października 2015 r. wydawał się przesądzony.

To, co w nich pozostało po reformie Tuska, wciąż wyglądało dla rządu Szydło nader zachęcająco. Aktywa funduszy mają teraz wartość 150–170 mld zł. Taki rozrzut bierze się stąd, że w dyspozycji OFE są głównie akcje. Charakteryzują się one tym, że z dnia na dzień mogą być warte mniej lub więcej.

Przez ponad rok nominowani przez Kaczyńskiego macherzy od ekonomii chodzili jednak wokół OFE jak wyżeł dookoła jeża. Prezes już w maju tamtego roku mówił, że trzeba to cholerstwo zlikwidować, a wicepremier Morawiecki w lipcu przedstawił nawet plan ich zaorania. Jest luty, a OFE nie spadł nawet włos z głowy.

...

Ale bez obaw. Spadnie nie tylko włos, ale polecą głowy. I to wcale nie tak, jak było w zapowiedziach Morawieckiego, który opowiadał, że jedna czwarta aktywów OFE trafi do Funduszu Rezerwy Demograficznej, a pozostała część będzie nadal zarządzana przez Powszechnie Towarzystwa Emerytalne, lecz pod inną nazwą: Towarzystwo Funduszy Inwestycyjnych. OFE według tego projektu miały zostać przekształcone w „Fundusze Inwestycyjne Polskich Akcji”. Wszystko to miało być hulać od roku 2018.

Najnowsze doniesienia z kręgów zbliżonych do ekonomicznych guru prezesa Kaczyńskiego

pokazują, że to już nieaktualne. Ma być tak, że wszystkie zasoby OFE zostaną przekazane na Fundusz Rezerwy Demograficznej i zapisane na indywidualnych kontach w ZUS. A ponieważ i FRD i ZUS są państwowe, znaczy obsadzone przez PiS, to wszystko, co jest własnością prywatnych funduszy, stanie się państwowe. Czyli pisowskie. A jak się to nawiedzonym liberalnym prawnikom nie będzie podobało, to sędzia Przyłębska zadba, żeby nie mieli się do czego przyczepić.

...

Myliłby się jednak ten, kto sądzi, że dzięki temu mykowi rząd PiS dostanie dodatkowe 160 miliardów i będzie miał z czego przez kilka lat finansować swoje pomysły z plusem.

Bo prezesowi nie chodzi o kasę dla budżetu. Chodzi o reanacjonalizację. A tak naprawdę o kilkaset nader intratnych posad dla utrwalenia swojej władzy.

Gdyby bowiem rząd po przejściu aktywów OFE zaprzagnął je spieniężyć, to zamiast ciężkiego hajsu miałby gówna. Wyobraźmy sobie, co by było, gdyby jednego dnia wystawiono na sprzedaż jedną piątą akcji na warszawskiej giełdzie. Wartość papierów sięgnęłaby nominalów śmieciowych i zamiast przychodu rządu 120 miliardów, budżet musiałby się zadowolić górą dziesięcioma. Na taki scenariusz nie poszedłby nawet największy kretyn ekonomiczny.

Wartość polskich firm notowanych na GPW to ok. 600 mld zł. Wszystkie Otwarte Fundusze Emerytalne są w posiadaniu mniej więcej co piątej akcji. Jeśli zatem PiS przejmie aktywa OFE, to państwo z godziny na godzinę stanie się udziałowcem setek przedsiębiorstw. I będzie miało ok. 20 proc. ich akcji. Doliczając to, czego do tej pory właścicielem jest skarb państwa, w takich firmach jak PKO BP, Taurony, Energi i KGHM-y, to okaże się, że polska gospodarka będzie w pisowskich rękach.

Ekonomiści, zajęci oglądaniem tabelk ze wzrostami i spadkami, chyba nie ogarniają zagrożenia.



– Środki z FRD mogą posłużyć do zasypywania dziur w budżecie. Poprzednia koalicja już korzystała z tego rozwiązania – komentował zapowiadany skok na OFE były członek Rady Polityki Pieniężnej prof. Dariusz Filar.

– Chodzi przecież tylko o to, by dorwać się do kasy – oceniał sytuację prof. Ryszard Bugaj.

Tak się jednak składa, że ta gospodarka to firmy w formie spółek. Te zaś mają takie ciała jak zarząd i rada nadzorcza. Do tej pory mało które OFE mogło z racji stanu posiadania akcji wyznaczyć swoich przedstawicieli w zarządach, ale w dziesiątkach rad nadzorczych (np. w PKO BP) jak najbardziej. Przedstawiciel OFE zasiadał w radzie takiego giganta jak Orlen. Ale nic w tym dziwnego, bo w plockiej firmie udziały OFE wynoszą ponad 30 proc.

...

Rekordzistą na rynku akcji funduszy kilka miesięcy temu był Computerland. Otwarte fundusze emerytalne dysponowały ponad 25 proc. akcji tej firmy. Gdy rozproszone aktywa funduszy znajdą się w jednych rękach, państwo będzie mogło mieć w spółce swoich wiceprezesów i część rady nadzorczej.

W innych firmach doszłoby nawet do całkowitego przejścia władzy. W takim Asseco Poland – aż 40,14 proc. akcji spółki należy do OFE. W firmie odzieżowej znanej z optymalizacji podatków na Cyprze, czyli w LPP – fundusze posiadają niemal 30 proc. akcji. W obuwniczym CCC – tak samo. Ba, dzięki aktywom funduszy doszłoby do upaństwowienia banków. Alior Bank należy do OFE w ponad jednej czwartej, mBank – w ponad jednej piątej. A w znanym skądinąd Morawieckiemu BZ WBK do OFE należy co szósta akcja.

W mniejszych firmach PiS mogłoby zatrudnić już nie tylko swoich członków. Godziwe stanowiska i zarobki byłyby nawet dla ich rodzin. Państwową spółką byłaby Elektrobudowa – ponad trzy czwarte akcji OFE. Kęty – ponad 70 proc. A nawet – uwaga! – Agora, w której OFE mają niemal połowę udziałów.

W niemal pięćdziesięciu firmach OFE mają ponad 30 proc. akcji. Jeśli państwo, czyli PiS, to przejmie, to prezes Kaczyński będzie mógł decydować o sprawach tak dla państwa istotnych, jak produkcja farb, kabanosów czy cukierków.

Nieoficjalnie Otwarte Fundusze Emerytalne powstały, aby zrekompensować prywatnym instytucjom finansowym straty związane z umorzeniem polskich długów na początku lat 90. Oficjalnie zaś OFE stworzono do pomnażania kapitału emerytalnego. Od 1999 r. przez kolejne 5 lat do tych prywatnych firm trafiało 7,3 proc. wynagrodzenia brutto niemal każdego pracownika.

Za zarządzanie tą kasą OFE pobierały opłaty. W latach 1999–2000 sięgały one ponad 10 proc. całości otrzymanych składek. Z czasem kolejne rządy zmniejszały prowizję i za każdym razem podnosił się w mediach lament, że jest to atak na pieniądze Polaków. Było to wierutne kłamstwo. Od początku istnienia OFE z tytułu opłat i prowizji ściągnęły do swoich kieszeni z placących na nie Polaków ponad 25 mld zł.

Tego, że dochody instytucji finansowych były ważniejsze niż zarabianie dla składkowiczów, dowodzi rok 2008. W wyniku zawirowań na giełdach z OFE wyparowało wtedy ponad 24 mld zł, ale tylko z tych pieniędzy, które odłożyli przyszli emeryci. Dochody powszechnych towarzystw emerytalnych pozostały nieknięte. Miesięczne pensje prezesów PTE sięgały w tym czasie 100 tys. zł.

OFE inwestowały w akcje, trochę w depozyty bankowe, a nade wszystko kupowały obligacje, które rząd musiał emitować, żeby kasy starczyło i na OFE, i na ZUS. Efektem tego był wyższy deficyt budżetowy i wyższy dług publiczny. W 2013 r. rząd Tuska powiedział: „dość”. I wprowadził ustawę odbierającą OFE świadczkowiczy obligacje oraz pozwolił większości składkowiczów wynieść się z funduszy. Dług państwa, wynoszący 153 mld zł, został umorzony. Ponadto zmniejszono składkę do OFE do ok. 3 proc. oraz zarobek od niej z 3,5 do 1,75 proc. Funduszym nałożono jeszcze kilka obustrzeń i pozostawiono je przy życiu z 2,5 milionami tych, których wciąż mamili reklamy o wczasach pod palmami.

Mało tego, dzięki możliwościom, które stwarza giełda, prezes będzie mógł pozbywać się jednych akcji i kupować inne, których kilka procent da mu władzę w kolejnych firmach. Władzę, ale i wdzięczność powołanych do ich zarządów ludzi. Setek ludzi, przy których kwalifikacje Misiewicz będzie jeszcze wspominać z łezką w oku.

TADEUSZ JASIŃSKI

Gównu suwerena
wyląduje nie tylko
na sędziowskich
togach,
ale może wylądować
na facjacie naczelnika.

Jarosław Kaczyński: „Polskie sądownictwo to jest jeden gigantyczny skandal i z tym skandalem trzeba skończyć. Będziemy likwidować patologię, która jest tam bardzo szeroko rozpowszechniona. Jest tak, że 10 miesięcy więzienia dostaje ktoś, kto rzucił tortem w panią sędzię, która złamała wszelkie zasady prawne i moralne, a ktoś, kto był zaangażowany w bardzo poważną działalność przestępczą, łącznie z napadami i pobiciami, dostaje 10 miesięcy więzienia z zawieszeniem. Dlaczego? Bo ma plecy”.

10 miesięcy mamra za rzut tortem w panią sędzię dostał Zygmunt Miernik, zawodowy patriota. Gdy prezes Polski zapowiadał likwidację patologii w sądownictwie, Miernik był już na wolności. Dlaczego? Bo ma plecy – sąd penitencjarny zwolnił go z odbycia reszty kary po interwencji ministra Ziobry.

Z kodeksu karnego wynika, że warunkowe przedterminowe zwolnienie z więzienia możliwe jest tylko wówczas, gdy „postawa skazanego, jego właściwości i warunki osobiste, okoliczności popełnienia przestępstwa oraz zachowanie po jego popełnieniu i w czasie odbywania kary uzasadniają przekonanie, że po zwolnieniu skazany będzie przestrzegał porządku prawnego, w szczególności nie popełni ponownie przestępstwa”. Dotarliśmy do aktu. Wynika z nich, że Miernik nie spełniał żadnego z tych wymogów.

Słusznie cisnął

Miernik potraktował sędzię Annę Wielgolewską ciastem podczas procesu generała Kiszczaka, bo aby nie dopuścić do naruszenia tajemnicy lekarskiej, nie chciała przesłuchiwać biegłych psychiatrów w obecności publiczności, poprosiła więc o opuszczenie sali. Publikę stanowił m.in. Miernik, wybitny działacz Ruchu Byłych i Przyszłych Więźniów Politycznych oraz Ogólnopolskiego Ruchu Obrony Bezrobotnych. Choć nie jest doktorem praw, od razu dostrzegł, że każąc mu iść precz, zbrodniarka w todzie złamała wszelkie zasady prawne i moralne, a beczelne powoływanie się na tajemnicę lekarską było jedynie wybiegiem zmierzającym do wyłączenia jawności rozprawy. Dlatego słusznie jebnął sędzię tortem w głupi łeb; nie będzie przedstawicielką kasty wybrańców uczyć suwerena prawa procesowego.

W babę

Po heroicznym czynie Miernik nie przeprosił ofiary, ale też obrał linię obrony nie całkiem godną patriotę – zamiast przyznać się i z dumną ogłosić: „jam to uczynił dla dobra ojczyzny”, kombinował jak pospolity kryminalista. Najpierw w trakcie postępowania przygotował wywód, że nie wiadomo, kto cisnął tortem, bo, owszem, trzymał ciasto, ale mógł je komuś dać. Gdy zorientował się, że nagranie filmowe nie daje szans na skuteczność taktyki opartej na pójsciu w zaparte, zaczął opowiadać o happeningu artystycznym jako dopuszczalnej formie protestu przeciwko patologii w wymiarze sprawiedliwości. Wreszcie przyznał, że rzucił tortem, ale nie w funkcjonariusza publicznego, tylko w zwykłą babę, bo przed rzutem Wielgolewska zdjęła łańcuch z orłem w koronie.

Fryz i ciuch

Sprawa trafiła do sądu. Podczas rozpraw myśliciel z Będzina nie okazał nawet cienia skruchy. Przeciwnie: konsekwentnie zapowiadał, że nadal będzie ciskał ciastami, a sędzie, które go skazały – przerznął w dwóch instancjach – uprzejmie poinformował, że właśnie trafiły na listę tortową. Podczas rozpraw był 7-krotnie karany na mocy ustawy o ustroju sądów powszechnych. Najbardziej surowa restrykcja – 14 dni aresztu – spotkała go za to, że przewodniczącą składu sędziowskiego nazwał „czerwoną szmatą”. Ponadto za naruszenie powagi i porządku czynności sądowych dostał grzywny – najwyższa wynosiła 3 tys. zł.

„Wskazuje to, że oskarżony w dalszym ciągu nie rozumiał naganności swojego postępowania. Wbrew twierdzeniom oskarżonego nie chodzi o zniszczoną garderobę czy fryzurę sędzię, bo godność osoby będącej funkcjonariuszem publicznym ma charakter uboczny, ale o to, aby zabezpieczyć prawidłową działalność instytucji państwowych, a szczególnie organów konstytucyjnych. Sąd jest miejscem, gdzie wymierza się sprawiedliwość, gdzie waga się ludzkie losy i w związku z tym należą

Kremowy mózg



rys. MIROSŁAW HAJNOS

na jest powaga i szacunek, a zatem ochrona koniecznego dla wykonywania tej działalności poszanowania dla funkcjonariuszy publicznych. Oskarżony w tym zakresie nie miał żadnej refleksji, uparcie twierdząc, że jego subiektywna ocena pracy konstytucyjnych organów państwa uzasadniała jego zachowanie, oraz że zamierza to robić dalej. W rozpoznawanej sprawie nie zachodziły podstawy do warunkowego zawieszenia wykonania orzeczonej kary pozbawienia wolności, ponieważ zachowanie oskarżonego przed popełnieniem przedmiotowego przestępstwa, jak i po jego popełnieniu, nie stwarza pozytywnej prognozy kryminologicznej, iż byłoby to wystarczające dla osiągnięcia wobec sprawcy celów kary, a w szczególności zapobieżeniu powrotowi do przestępstwa” – stwierdził w uzasadnieniu wyroku Sąd Okręgowy w Warszawie, skazując Miernika na 10 miechów bezwzględnego pobytu w pudle.

Gacie męczennika

W trakcie odsiadki prognoza kryminologiczna nie zmieniła się – osadzony Miernik niczym nie różnił się od oskarżonego Miernika i wciąż utrzymywał, że nie żałuje popełnionego czynu, a na wolności znowu będzie wymierzał sędziom sprawiedliwość. Czyli jawnie przyznawał, że na powietrzu wróci do popełniania przestępstw. Ale nie tylko z tego powodu w zakładzie karnym miał fatalną opinię. Ciągłe stwarzał kłopoty, formułując niezliczone żądania, w tym ustawiczny postulat nadania statusu więźnia politycznego, choć takiego w polskim systemie

prawnym nie ma. Jest jedynie zapis w kodeksie karnym wykonawczym stanowiący, że „skazani za przestępstwo popełnione z motywacji politycznej, religijnej lub przekonań ideowych odbywają karę w oddzieleniu od skazanych za inne przestępstwa i mają prawo do korzystania z własnej odzieży, bielizny i obuwia oraz nie podlegają obowiązkowi pracy”. Męczennik i lider Ruchu Obrony Bezrobotnych w jednej osobie nie musi nosić własnych gaci, ale pracą nie zwykł się hańbić, jego zabiegi były więc w pełni zrozumiałe, tyle że okazały się nadaremne. Kodeks głosi bowiem, że z uprawnień nie mogą korzystać skazani za przestępstwa popełnione z użyciem przemocy; władze więzienia uznały, że cisnięcie tortem w sędzię kryterium przemocy spełnia i wniosek męczennika odrzuciły.

W trakcie odbywania kary Miernik był także zamieszany w pobicie kucharza. Wszystko to sprawiło, że kierownictwo więzienia chciało go skierować na badania psychiatryczne, lecz gdy sprawą zainteresował się Ziobro, wycofało się z pomysłu. Szkoda. Gdyby do tego doszło, Miernik siedziałby tam, gdzie jego miejsce, czyli za kratkami, ale niekoniecznie w kryminale.

Wsadzić Michnika

Zygmunt Miernik jest zwarty i gotowy do sądzenia żywych i umarłych, bo po sześciu miesiącach pobytu w więzieniu katowicki sąd penitencjarny wypuścił go na wolność. Jak to się stało, że mimo negatywnej prognozy kryminologicznej sformułowanej zarówno w trakcie procesu, jak i odsiadki, a także szczerej zapowiedzi powrotu na drogę przestępczą, zastosowano insty-

tucję warunkowego przedterminowego zwolnienia?

Tropy wiodą do Ministerstwa Sprawiedliwości.

Prawi i sprawiedliwi z powodu Miernika znaleźli się w pułapce, bo jego skazanie i odsiadka nastąpiły po dobrej zmianie, a wołanie o nadanie statusu więźnia politycznego nabrało rozgłosu. Prezes Kaczyński mógłby skinieniem małego paluszka sprawić, aby Sejm podczas nocnej zmiany uchwalił paragraf pozwalający uznać Miernika za papieża, kosmonautę lub więźnia sumienia, ale byłoby to niezgodne z polską racją stanu, albowiem zagranica tylko czeka na informację, że reżim zamyka za przekonania polityczne. Dlatego prezes nie skinął.

Tymczasem dążenia Miernika do zostania więźniem politycznym wsparły liczne organizacje niepodległościowe, śląc apele i petycje do Ziobry i premier Szydło, a oddziały szturmowe prezesa Kaczyńskiego, czyli Kluby „Gazety Polskiej” i „Gazeta Polska” wszczęły kampanię „Uwolnić Miernika, wsadzić Michnika!”. Coś trzeba było począć, zwłaszcza że problem narzmiewał.

Miernik skarżył się, iż administracja więzienia znęca się nad nim, dając do czytania tylko „Gazetę Wyborczą”. I choć bohatersko twierdził, że nie da się wychować – czytają: złamać – a koledzy z podziemia, aby zmniejszyć cierpienia bohatera, podrzucali mu „Gazetę Polską”, tortura polegająca na lekturze organu Michnika dla prawdziwego Polaka jest większą traumą niż podtapianie i podłaczanie jąder do akumulatora.

Bez łaski

Najprościej byłoby Miernika ulaskawić, ale prezydent Duda tym razem umył łapki. „Postępowanie ulaskawieniowe może zostać wszczęte wówczas, gdy do Kancelarii Prezydenta RP lub do sądu orzekającego w I instancji wpłynie stosowna prośba od skazanego bądź innej osoby uprawnionej. Dotychczas do Kancelarii Prezydenta nie wpłynęła prośba od skazanego ani od osoby uprawnionej o ulaskawienie Pana Zygmunta Miernika. W dotychczasowej praktyce stosowania prawa łaski nie wszczynano postępowań ulaskawieniowych wbrew woli osób uprawnionych do wniesienia prośby o zastosowanie prawa łaski” – stwierdziła Kancelaria niezlomnego Prezydenta, najwyraźniej zapominając, że Mariusza Kamińskiego nikt o zdanie nie pytał. Zarówno Ministerstwo Sprawiedliwości, jak i Prokuratura Krajowa nie znalazły też podstaw do kasacji wyroku dla Miernika, co świadczy o tym, że gangsterzy w togach działają w sposób wyrafinowany i niełatwo dowieść, że dopuścili się sądowej zbrodni.

Wreszcie pod koniec zeszłego roku minister Ziobro nacisnął odpowiedni guzik i Prokuratura Regionalna w Katowicach wystąpiła do Zakładu Karnego w Wojkowicach, gdzie więzień sumienia odbywał karę, „o udostępnienie akt osobowych osadzonego Zygmunta Miernika celem rozważenia wystąpienia z wnioskiem o warunkowe przedterminowe zwolnienie ww. z odbycia reszty kary orzeczonej w wymiarze 10 miesięcy pozbawienia wolności”. 12 stycznia męczennik wyszedł na wolność.

Niestrawna resztką

Miernik na razie milczy, ale jego koledzy zapowiadają, że akcja tortowa wobec sędziów będzie kontynuowana. Co gorliwsi patrioci domagają się jednak, aby zamiast tortów używać ich niestrawionych resztek, a niebawem pewnie znajdą się zwolennicy jeszcze radykalniejszych rozwiązań kwestii sędziowskiej i w grę mogą pójść sztachety, kwas lub siekiery. W powietrzu wisi anarchia. Rozbestwiony suweren może być niebezpieczny nie tylko dla oprawców w togach, ale dla całego państwa. Gównu prędzej czy później wyląduje na facjacie Kaczyńskiego, co uwalnianie z pudła Miernika i innych więźniów politycznych czyni wzniosłym.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

PiS potrzebowało tylko roku, aby zakochać się w suplementach diety.

Od lat każdy z nas jest na każdym kroku walony reklamami cudownych środków na porost ciemnych włosów, zakwaszenie albo impotencję, że o wątrobie nie wspomnę.

Od lat medycy walczą o zakaz wciśnięcia ludziom miksturowej ciemnoty.

Od lat posłowie PiS odgrają się, że w sferę dystrybucji parafarmaceutyków powinno wkroczyć państwo i skończyć z oszukiwaniem milionów Polaków.

Od ostatnich wyborów Ministerstwo Zdrowia i sejmowe komisje debatują nad ucywilizowaniem niespotykanego w cywilizowanym świecie manipulowania ludźmi.

I co? Poza tym, że Najwyższa Izba Kontroli z własnej nieprzymuszonej woli zrobiła to, co należy do sanepidu – zupełnie nic.

Bez specjalnego nadzoru

To, co wyszło NIK, nie jest dla nikogo myślącego zaskoczeniem. Może poza skalą zjawiska. Polskie prawo pozwala rozpocząć sprzedaż suplementu diety* w momencie wysłania powiadomienia o tym fakcie do Głównego Inspektoratu Sanitarnego. W GIS sprawdzaniem, czy zgłoszone coś jest cacy, czy trutką, zajmuje się 7 osób. Przeciętny czas, który mija od zgłoszenia do przebadania substancji, wah się od roku do trzech lat. I dlatego ze zgłoszonych w GIS 30 tys. specyfików zweryfikowanych jest ledwie co trzeci. Gdyby dodać do tego taki drobniak jak fakt, że pod jedną nazwą handlową dany produkt funkcjonuje 1,5–2 lata, to nawet gdyby okazało się, że jest mieszaną strychniny z cyjankiem potasu, w momencie stwierdzenia tego przez inspektorów leku pod tą nazwą już dawno na rynku nie ma. Co nie znaczy, że w aptekach nie występuje. Bo na pewno jest na półkach, tyle że nazywa się zupełnie inaczej, a powiadomienie o jego pojawieniu się leży grzecznie w GIS-owskiej kolejce do weryfikacji.

NIK to obcaizło i stwierdziło, że „rynek suplementów diety wymaga pilnej poprawy regulacji dotyczących tych produktów. Polscy konsumenci spożywają coraz więcej suplementów diety, traktując je nierzadko jako panaceum na różne dolegliwości. Nie wiadomo jednak dokładnie, co spożywamy, gdyż wprowadzanie do obrotu i sprzedaż są praktycznie poza skuteczną kontrolą. Badania laboratoryjne suplementów diety zleczone przez NIK wykazały, że wiele suplementów nie wykazuje cech deklarowanych przez producentów, a zdarzają się też po prostu szkodliwe dla zdrowia”.



Ilustr.: WLODEK KIERUS

Dilerzy złudzeń

Procedura teoretycznie państwowa

Najsmutniejsze jest to, że aż

41 procent rodaków przypisuje suplementom diety właściwości lecznicze. Właściwości, których te produkty nie mają. Z badań wynika też, że jesteśmy idiotami sądzącymi, że istnieje tu jakieś państwo. Po prostu połowa z nas uważa, że suplementy są tak samo kontrolowane jak leki. Nie są.

I to bardziej, niż nam się wydaje. GIS, dostając powiadomienie o wprowadzeniu substancji do obrotu, czytał tylko podany przez producenta skład. I ponieważ nie było tam niczego, co wyglądałoby groźnie, przybijał pieczęć.

Poddano parę suplementów badaniom laboratoryjnym. I wyszły niezłe kwiatki. Na 11 badanych substancji w czterech próbkach suplementów diety z grupy probiotyków stwierdzono obecność niewykazanych w składzie szczepów drobnoustrojów. W kolejnych czterech stwierdzono niższą niż deklarowaną na opakowaniu liczbę bakterii probiotycznych. W jednej próbce wykryto zanieczyszczenie produktu bakteriami kałowymi. I to takimi, które zdaniem ekspertów stwarzały zagrożenie dla zdrowia, a nawet życia konsumentów.

GIS podkładał się przez cały czas kontroli. Nawet jak otrzymał z izby informację, że w suplementie diety z grupy tzw. spalaczy tłuszczu jest coś amfetaminopodobnego, to zareagował na to dopiero po czterech miesiącach.

GIS szczuty NIK-iem

Trzeba jednak pamiętać, że NIK to Krzysztof Kwiatkowski, czyli Platfor-

ma. GIS zaś jest instytucją skutecznie przejętą przez PiS. Inspekcja sanitarna uznała zatem zarzuty izby za czystą politykę.

– W Polsce system kontroli suplementów diety należy do bardziej restrykcyjnych – obwieścił światu rzecznik GIS Jan Bondar i dodał, że gdyby było inaczej, to nie byłoby tylu skarg do Komisji Europejskiej dotyczących ograniczenia swobodnego przepływu towarów kierowanych przez firmy próbujące wprowadzić suplementy do obrotu. Po czym sobie zaprzeczył.

– Długi czas rozpatrywania zgłoszonych notyfikacji wynika stąd, że każda jest dokładnie sprawdzana. Zdarza się bowiem, że zakres kontroli znacznie wykracza poza regulacje unijne, np. w zakresie zawartości substancji farmakologicznych. Zgodnie z wieloma wyrokami Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości nie może to blokować sprzedaży – powiedział rzecznik i nijk nie można teraz dociec, na co skarżył się do KE firmy mogące sprzedawać produkty w chwili złożenia kwitów do GIS.

A tak w ogóle to zdaniem rzecznika GIC, jest bardziej wporzo, niż to przewiduje prawo unijne, a wszelkie znalezione laboratoryjnie w próbkach suplementów niefajne rzeczy mają stworzyć niesprzyjający GIS i władzy „posmak taniej sensacji”. Bo przecież „w Ministerstwie Zdrowia trwają prace nad zmianą przepisów związanych z suplementami diety. Planowane są ograniczenia w ich reklamie, zaostrzenie kar dla firm nieprzestrzegających przepisów związanych z ich wprowadzaniem do obrotu oraz wprowadzenie opłaty za przeprowadzone postępowanie”.

Jasne, że trwają. Pisałem o tym już latem: „VAT im stanie po braveranie”, „NIE” nr 32/2016. Bo wtedy też był gotowy projekt ustawy ograniczającej robienie z Polaków lekomanów. Od tej pory upłynęło, jak na pisowską legislaturę, bardzo dużo czasu. A w sprawie ustawy nic nie drgnęło.

Telewizyjna tuba na porost

„Należy rozważyć wprowadzenie w Polsce zakazu reklamy leków dostępnych bez recepty, wyrobów medycznych oraz suplementów diety. Jeżeli wprowadzenie takich zmian musiałoby wymagać zmian przepisów prawa Unii Europejskiej, to z uwagi na wagę problemu należy niezwłocznie podjąć działania zmierzające do zmiany tych przepisów, aby dawały one państwu członkowskim prawo do wprowadzenia ograniczeń reklamy takich produktów, w tym również całkowitego zakazu reklamy kierowanej do społeczeństwa” – oświadczyła Naczelna Rada Lekarska.

Takiego wała! – zakrzyknęli w duchu producenci, aptekarze i media.

Nic z tego – zapowiedzieli w rządowych kuluarach wicepremierzy Gowin i Morawiecki i oczywiście mieli na uwadze pieniądze. Duże pieniądze.

Co roku sprzedaje się u nas suplementy diety za ok. 4 mld zł. Podobno wprowadzenie zakazu reklamy suplementów zubożyłoby skarb państwa o ledwie 60 mln zł. To równowartość tysiąca rocznych wypłat „500 plus”. Morawiecki z Gowinem pochylił się zatem nie nad budżetem, ale nad wciśkającymi paramedyczny kit producentami i aptekarzami.

Przychody wytwórców suplementów zmniejszyłyby się bowiem o 1,7 mld zł. A jeśli policzyć cały rynek farmaceutyków bez recepty, to skurczyłby się on o 6,5 mld. Z czego producenci popłynęliby na jakieś 5 mld, a aptekarze na resztę.

Oczywiście lobby producencko-aptekarskie zasponsorowało raport. Napisał go Instytut Badań nad Gospodarką Rynkową. Dlatego nie ma się co dziwić, że napisano, iż „możliwe zmiany legislacyjne byłyby niekorzystne dla krajowych producentów leków, negatywnie wpłynęłyby na dochody budżetu państwa, spowodowałyby wzrost cen leków, jeszcze bardziej utrudniłyby działalność branż pokrewnych funkcjonujących na progu

rentowności, przede wszystkim aptekarskiej i reklamowej”. Jak widać, według IBnGR na zakazach stracą też pacjenci. Dlatego, że producenci nie będą mieli pieniędzy na badania. „Brak badań nad nowymi lekami odbija się na jakości dostępnych produktów. A ściąganie nowych leków z zagranicy będzie kosztowne”.

Oni naprawdę sądzą, że ktoś oprócz urzędników, posłów oraz Gowina i Morawieckiego uwierzy w taki kit? Prawda tymczasem jest zupełnie inna. W kieszeniach biednych, ogłupiałych od reklamy ludzi zostanie kilka miliardów złotych. A stan zdrowia tej populacji nie ulegnie najmniejszej zmianie. Ale takiego przekazu znikąd nie dostaniemy. Po prostu

na pieniądzach z branży farmaceutycznej i parafarmaceutycznej opiera się cały sektor medialny. A on nie będzie podcinał gałęzi, na której siedzi.

Producenci parafarmaceutyków ponoszą 12 proc. wszystkich wydatków reklamowych. Najwięcej z tego tortu wędruje do telewizji. Większość do telewizji publicznej. Nic zatem dziwnego, że Krajowa Rada Radiofonii i Telewizji w kwietniowym raporcie dotyczącym reklam leków i suplementów oceniała sposób promowania leków bez recepty bardziej niż pozytywnie.

Zapełniacze półek w aptekach nie są w ciemni bici. Teraz kierują kasę reklamową tam, gdzie powinni, czyli do mediów propisowskich. I wiedzą, co robią. Zlecenia emisji reklam są idealną łapówką zabezpieczającą ich miliardowe interesy.

TADEUSZ JASIŃSKI

* Suplement diety – zgodnie z ustawą o bezpieczeństwie żywności i żywienia – jest produktem złożonym z substancji odżywczych (m.in. witamin, minerałów, przeciwutleniaczy itp.), którego funkcją jest uzupełnianie niezbalansowanej diety o brakujące składniki.

Szykujcie się na niezapomniane wczasy wśród odgłosów rur wydechowych i w oparach kancerogenów.

Ostatnie wakacje wykazały, że „500 plus” działa. Wszystkie miejscowości turystyczne były zarypane letnikami. W tym roku będzie tak samo. Dlatego jak ktoś chce wyskoczyć na rodzinne wakacje gdzieś w Polskę, to powinien już teraz zaklepać sobie sensowną rezerwację. I najlepiej nie w miejscowości mającej status uzdrowiska. Wypoczynek w uzdrowisku może bowiem być przyczyną licznych dolegliwości. Od ekonomicznych po zdrowotne.

Jak ma się sprytnego wójta, burmistrza lub prezydenta, to nic nie stoi na przeszkodzie, by być mieszkańcem zdroju. Na miano miejscowo-

Zdrój jak chuj

Zdrowe pylenie, miłe decybele

ści uzdrowiskowej zapracowało w taki sposób już 45 polskich kurortów. Bycie uzdrowiskiem to zaś dla samorządu nie byle co. Prawo stanowi bowiem, że „na obszarach, którym nadano status uzdrowiska na zasadach określonych w ustawie z dnia 28 lipca 2005 r. o lecznictwie uzdrowiskowym, uzdrowiskach i obszarach ochrony uzdrowiskowej oraz o gminach uzdrowiskowych – za każdą rozpoczętą dobę pobytu rada gminy może wprowadzić w drodze uchwały opłatę uzdrowiskową. Opłatę uzdrowiskową pobiera się od osób fizycznych przebywających dłużej niż dobę w celach zdrowotnych, turystycznych, wypoczynkowych lub szkoleniowych”.

Maksymalna stawka opłaty w 2017 r. to 4,25 zł. Gdy się ma 4-osobową rodzinę i zamierza się wyskoczyć do Polanicy-Zdroju, to koszt jednego noclegu w uzdrowisku od razu należy podnieść o 16 zł na dobę.

Jeśli się komuś nie widzi Polanica, a chciałby zaliczyć kurort zdrowotny, to zawsze może znaleźć coś tańszego, np. uzdrowisko Kraków-Swoszowice. Tam skasują za dobę ledwie 1,60 zł. W zamian ma się unikatowy w skali europejskiej klimat. Każde zacerpnięcie powietrza zapewnia kuracjuszowi i turyście ubogacenie organizmu o pył zawieszony PM 10 i PM 2,5 w ilościach

znacznie przekraczających normy polskie, o zagranicznych nie wspominając.

Kraków-Swoszowice ma jeszcze jedną przewagę nad Polanica. W nim bogactwo zawarte w powietrzu występuje nie dość, że w ilościach większych niż w Polanicy, to na dodatek częściej. O ile bowiem w dolnośląskim zdroju „przekroczenia poziomów dopuszczalnych i docelowych pyłu zawieszonego PM10 i PM2,5 oraz benzo (a) pirenu w powietrzu występują głównie w okresie grzewczym, tj. od października do marca”, o tyle w Krakowie przekroczenia występują cały rok.

Rabka-Zdrój powinna się reklamować jako miejscowość, do której przyjeżdża się po raka. W zestawieniu miast o największym skażeniu kancerogennym benzo (a) pirenem Rabka jest najwyższą ocenianą miejscowością ze statusem uzdrowiska. Zajmuje 14. miejsce w Polsce.

Nie lepiej jest w Krynicy, Konstancinie-Jeziornej czy Połczynie-Zdroju. Ba, nawet w tak zdawałoby się dobrze przewietrzanych miejscowościach, jak Świnoujście, Kamień Pomorski, Kołobrzeg czy Dąbki, rakotwórczego gówna w powietrzu jest kilka razy za dużo.

Daniszevska: – Wiem, Wołku, że nie znosisz Tefatenu 24, więc wleję trochę wody na twój młyn. Uważam, że stacja ta wymięka. Rano zawiadamia, że będzie reportaż o seksie w więzieniu. Kobieta opowiada, że zaprowadzono ją do kaplicy, gdzie odbyła stosunek. O 19.00 znów informuje, że będzie taki reportaż, ale już o kaplicy ani słowa. No, a już roztkliwianie się godzinami nad zdrowiem pani premier i jej otarciami przyprawiło mnie o mdłości.

Wołk-Łaniewska: – A nie, dlatego, mnie się podobało. Szczególnie skrępowanie rzecznika Bochenka, któremu przyszło mówić o piersiach premier Szydło.

– **No bo temat dość przerażający, przynasz.**

– Pan rzecznik też tak myślał. Najpierw, gdy dziennikarze zapytali go, jakie konkretne obrażenia odniosła pani premier, opierdolił ich, „są pewne granice prywatności nawet premiera polskiego rządu”. Ale ponieważ on należy do tych, którzy nie potrafią przestać mówić, to potem zapuścił się w długą filipikę, że „jeśli pacjent, który wcześniej był pasażerem, był zapięty w pasy i z tego powodu doznał obrażeń, to państwo możecie sobie już wyobrazić, których części ciała obrażeń doznał, zwłaszcza jeśli mówię, że były to otarcia, stłuczenia”. Mógłby oczywiście powiedzieć, że klatki piersiowej, ale istnieje niebezpieczeństwo, że u pani premier na klatce piersiowej występują piersi, a mówienie o piersiach pani premier przed kamerami...

– **Niebezpieczeństwo?**

– No, nie sądzisz chyba, że rzecznik Bochenek przygląda się piersiom pani premier. To byłoby w najwyższym stopniu niestosowne. Tym bardziej że nie są to bynajmniej brakujące wakaty...

– **Że co?**

– Tak powiedział pan rzecznik w twoim Tefaleniu: „Uzupełniamy brakujące wakaty”.

– **Gdzie? Na klatce piersiowej pani premier po wypadku?**

– Nie, głupia, w BOR. Bo ten wypadek to nie wina BOR, to nie wina BOR, to nie wina BOR, w związku z czym BOR się rozwiaże – jak wyjaśnił z kolei minister Błaszczak.

– **Ależ oczywiście, wszyscy jechali na sygnale i światłach. Błaszczak i ten jego puculowaty zastępca bez nazwiska kłamią i kręcą, a młody beknie.**

– Zieliński.

– **Malinowski.**

– Co Malinowski?

– **A co Zieliński?**

– Nazwisko tego puculowatego. Wiceminister Zieliński to ten mąż stanu, dla którego policjanci na służbie cięli nożyczkami biało-czerwone konfetti, a na konferencji na temat bezpieczeństwa osób starszych zatańczyła dla niego grupa tańca Sen Hawajów działająca przy białostockiej Akademii 50+. Taniec hula zatańczyła, z girlandami kwiecica na szyjach. Wiceminister Zieliński jest tak inteligentny, bo w zeszłym rządzie PiS był wiceministrem edukacji. A jeszcze wcześniej z kierownika Urzędu Rejonowego w Suwałkach awansował na burmistrza Śródmieścia.

– **Śródmieścia czego?**

– No jak czego, Warszawy. Za brata świętej pamięci. I jeszcze ma srebrny medal „Za zasługi dla obronności kraju”, co uważam za głęboko

Dialogi dam w drodze do kościoła

+++++

Jedna z kotek **GOŚKI DANISZEWSKIEJ** zobaczyła przez okno srokę. Tak się przestraszyła, że spadła z parapetu. Wtedy Azor sfajdał się na dywan. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** nie rozumie, dlaczego ludzie trzymają w domu istoty, które srają na dywan. Zimna suka.

+++++



ILUSTR. WŁODEK KIERUS

ką niesprawiedliwość, skoro „minister Misiewicz” ma złoty. Wiceminister Zieliński to moja wielka miłość jest. Choć ostatnio już trudno mi zdecydować, czy bardziej kocham jego, czy ministra Błaszczaka, który w radiu publicznym się oburzył, że adwokat młodego człowieka, którego policja postanowiła ubrać w odpowiedzialność za wypadek, nie dość, że „włącza się w akcję podważenia pierwszych ustaleń dotyczących sprawcy wypadku”, to jeszcze „bierze za to pieniądze”. Zeby obrońca za pieniądze podważał opinię prokuratury! Sprzedawczyk!

– **Oburzające. Mówię to jako córka dziekana Białostockiej Rady Adwokackiej. A tak w ogóle to chyba przedwiośnie na mnie źle działa. Powinnam zmienić otoczenie. Bo na przykład czepiam się mojej zakolegowanej joginki. Ona jest weganką. Raz do roku jak zje jajko od szczęśliwej kury, to mamy święto. Gdy do mnie wpada, szykuje jej specjalną owsiankę i coś, co żrę sama, taką pulpę z owoców rozbijaną blenderem. Otóż udała się ona do jakiegoś lekarza, co ja pierdole, do szamana. Ten powiedział jej, że ma jeść wszystko ciepłe, a owoce tylko pieczone. Ona więc zaniechała pulpy, śnią się jej chrupiące jabłka. Bo może tylko pieczone. Rozumiesz, Wołku?**

– Nie.

– **Marzyłaś kiedyś o jabłku, którego nie zjesz, bo jakiś zagraniczny szaman ci zakazał?**

– Nie.

– **Mało, że nie jesz mięsa, ryb, parmezanu, jajek, kefiru i możesz wpierdalać tylko trawę, to jeszcze musi ona być ugotowana.**

– Nie.

– **Na drzewo z takim życiem.**

– No.

– **Ludzie sami sobie wymyślają takie głupoty, a jeszcze lepiej, jak im jakiś guru coś narzuci. I wierzą w to. Tak jak redaktor Kraśko w zbrojenia.**

– Co redaktor Kraśko?

– **Moja kolejna frustracja z Tefatenu. Chciał ożenić się ze wspaniałą dziewczyną, którą znam. Co jej odbiło? To już lepiej powinna była wyjść za konia. Bo na tym się zna. I tenże redaktor Kraśko, koniem karmiony, mądrzy się.**

– Ostatnio strasznie płakał w Tefalenie, że lud nie wita pieśnią amerykańskich żołnierzy, którzy przyjechali nas bronić przed Rosją, a przecież „tyle pokoleń Polaków na to czekało”. Ciekawe, czy także jego dziadek, kierownik Wydziału Kultury KC, towarzyszył Wincenty

Kraśko. Jak ja nie znoszę tych zawodowych eksploratorów amerykańskiego odbytu...

– **Tu się zgadzamy. Trump ma rację, bo kraje europejskie powinny dawać więcej na zbrojenia, bo Stany są wykorzystywane – ogłosił Kraśko. Niech dzieci w Syrii umierają, byle Europa była uzbrojona po zęby. I peroruje dalej. W Petersburgu trwają spór i demonstracje przed cerkwią. Jedni chcą oddać popom, a drudzy chcą muzeum. Kraśko jest oburzony. Dla niego jest oczywiste, że czarnym ten zabytek się należy. Nawet karci prowadzącą, że śmie myśleć inaczej. Ten redaktor wie lepiej...**

– Ale Kraśko to nie tylko problem Tefalenu. Zawsze mnie oczarowywał, jak prowadził „Wiadomości” w publicznej za poprzedniej władzy. On tam zaprowadził taką wartościową zasadę, że każdy nius musi mieć human engel...

– **Że co?**

– Ludzki punkt widzenia. Więc na przykład jak był nius o umowie gazowej z Rosją, to najpierw pokazywano fajerkę z płonącym gazem, a potem panią Genowefę, która bardzo lubi gotować na gazie i martwi się, że jej wzrosną rachunki...

– **A teraz „Wiadomości” ci się podobają?**

– O, teraz tak, teraz są szczerze zabawne. Jak mi smutno, to se włączę publiczną i zawsze mnie coś ubawi.

– **Ja też znalazłam trochę lekarstwa na te moje smędenia.**

– Dawaj!

– **Ale w Tefaleniu.**

– Trudno.

– **Obejrzałam otóż ostatnio generała Piotra Pytla u Moniki Olejnik. To ten szef kontrwywiadu, którego zwolnił Misiewicz. Zwolnił i kazał siedzieć w domu. Powiedział też generał, że Macierewicz nie wierzy w zamach smoleński. Powiedział coś takiego, że ten dramat to tylko narzędzie polityczne. A ile te komisie forsę przepuściły, żeby Kaczyński miał „narzędzie”? A przecież nieistniejący daje im sygnały, rozpieńdając kolejne samochody!**

– To nieco ryzykowna figura retoryczna, ale niech ci będzie.

– **Jest jeszcze drugie lekarstwo. Nazywa się Sándor Márai i jego dzienniki. On mnie po tych wszystkich zbrojeniach i Tefalenach uspokaja. Pisz o Mussolinim: „Lecz przede wszystkim stał się praojcem owej sztucznej hodowli ludzkiej, która z narodu czyni maszynę do rozrodu, a potem dla swojego potomstwa szuka miejsca na świecie. Przyszytył umysły, przyzwyczaiał ludzi do osłaniania narodowym sztandarem ograniczoności”. I pisał to w roku 1943. Amen.**

– A to mnie się przypomniało 14 cech charakterystycznych faszyzmu według Umberto Eco. W tym: tradycjonalizm i niechęć do rozwoju wiedzy, irracjonalizm i wrogość wobec modernizmu, nacjonalizm i wiara w teorie spiskowe, podejrzliwy stosunek do świata intelektualnego, uznawanie odmiennych poglądów za przejaw zdrady, a pacyfizmu za formę bratania się z wrogiem, postrzeganie ludzkiego życia jako wiecznej walki, przesładowanie nieheteronormatywnych skłonności seksualnych, rasizm i kult śmierci.

– **O, kurwa!**

– Prawda?



daniszevska@redakcja.nie.com.pl
awl@redakcja.nie.com.pl



RYŚ. PAWEŁ KUZYŃSKI

Oczywiście na deptaku w Ciechocinku też ci go dostatek. A w połączeniu z przekroczonymi poziomami pyłów PM10 i PM2,5 daje mieszaninę, na którą to, co wdycha się w lokalnych teżniach, na pewno nie pomoże.

To może choć spokój i cisza czekają w zdrojach na turystów? Też nie. W Nałęczowie norma hałasu w dzień jest przekroczona o 42 proc., w Krasnobrodzie o 40. W Kołobrzegu za dnia jest wpół. Ale nocą przy otwartym oknie jest się nara-

żonym na hałas większy od normy o 30 proc. Za głośno jest też w każdej innej miejscowości uzdrowskiej, jednak nie aż tak.

Szmal zdrojowy

Najwyższej Izbie Kontroli polskie uzdrowska nie przypadły do gustu. Skontrolowała niemal co czwarte i napisała, że „żadna z kontrolowanych miejscowości nie spełniała wymogów określonych dla uzdrowsk”. Mimo to „minister zdrowia potwierdził możliwość prowadzenia lecznictwa uzdrowskowego we wszystkich 11 miejscowościach”.

Ale resort zdrowia, który nie nadzoruje tego, co nadzorować powinien, to przyszc. Ciekawiej rzecz wygląda z finansowego punktu widzenia.

Miejscowości, które załatwiły sobie status uzdrowsk, garną z tego tytułu, ile się da. I to podwójnie. Raz – kasując turystów opłatą uzdrowskową. Dwa – budżet państwa dotacją na uzdrowskowość.

Dotacja wynosi równowartość opłaty, którą gmina ściągnęła 2 lata wcześniej. Szmalec wynikający z bycia zdrojem jest zacny. Kołobrzeg wyściska z państwa i turystów niemal 21 mln zł rocznie. Dąbki – niemal 4,5 mln. Niewielki Nałęczów – nieco ponad 2 bąniki.

Samorządy ubogacone uzdrowsowym szmalem traktują go jak każdy inny rodzaj przychodu. Nie inwestują go ani w infrastrukturę turystyczną, ani w ekologiczną. Nie wspominając już o tym, żeby za chociaż część tych środków zrobić załość ustawowym wymogom uzdrowskowemu i kupić sprzęt do monitorowania powietrza lub mierzenia hałasu.

Postępowanie gmin akurat nie dziwi, bo co to za przyjemność, gdy kupiony za ciężki hajs sprzęt będzie wykazywał niemiłe włodarzom parametry. A na dodatek jakaś miejscowa łajza ekologiczna każe takie wyniki publikować.

To, co dziwi, to nieustający brak państwa. Czyli nadzoru resortów, które status uzdrowska zatwierdzają, i wojewodów, którzy powinni sprawdzać, czy uzdrowsko zasługuje na takie miano. A ponieważ żadna Pipidowa-Zdrój nie ma prawa za zdroj uchościć, to może PiS powinno którejś nocy po prostu przyjąć ustawę likwidującą taki status. Miejscowi samorządowcy musieliby się wziąć do roboty, a turyści nie łapaliby się na uzdrowskowe plewy. Nie dość, że drogie, to bez żadnego pokrycia w rzeczywistości.

TADEUSZ JASIŃSKI

Gdy dowiedziała się, że w niej skończył, poszła na policję. O gwałt zbiorowy oskarżyła pana i panią.

Miejsce akcji: Wrocław. W rolach głównych: Aneta Z., przedszkolanka, w weekendy dorabiająca jako kelnerka; Bożena R., barmanka; Zenon P., menedżer lokalu. Damy – stanu wolnego. Dżentelmen – żonaty, dziecko, sztuka jedna. Zenek i Bożenka są kochankami. Szukają chętniej do trójkąta, bo z dotychczasową uczestniczką trójkątnego pożycia rozstali się na wniosek Bożenki (oficjalnie: ze względu na niezgodność charakterów; realnie: Zenek wkładał ze zbytnim zaangażowaniem). Aneta Z. jest młoda, ma cys, i zdaniem Zenka, członki w oczach. No i podoba się Bożence. Zenon pyta Anetę SMS-em: „Dasz się zaprosić na drinka?”. „Masz żonę i dziecko, nie wchodzę w takie układy” – odpowiada niewiasta. Ale gdy Bożenka zaprasza ją do siebie na drinka, nie odmawia, mimo że wie, iż połykać będą w przytomności Zenona.

...

Kwadrat wynajmowany przez Bożenę R. zawiera: dwie białogłowy, samca i litr whisky. Na początku jest miło, o żeglarskim się mówi, o tym, kto lubi tańczyć, a kto nie. Zenek na przykład nie lubi, bo się poci. Aneta pyta, czy z powodu nadmiernej potliwości nie lubi też seksu. Czas płynie z alkoholem, atmosfera jest tak intymna, że Bożenka kilka razy zaprasza Anetę do toalety, a tam przedstawia zalety współżycia we troje. Po kolejnej wizycie dam w łazience Zenon wyklada karty: „Albo idziesz z nami do łóżka, albo zamawiam ci taksówkę”. Aneta jednym haustem dopija drinka i uśmiecha się. Zenon uznaje, że znacząco. Aneta znowu wędruje do WC. Gdy wraca, naga Bożenka leży na wersalce, a Zenek w koszulce i skarpetach ją posuwa. Aneta się przyłącza i: całuje się z Bożenką, potem Bożenka pieści ją oralnie, doznając Zenona z tyłu, daje Zenonowi, Zenon chce jej włożyć w usta, odmawia, bo nie lubi, Zenon wraca do penetracji waginalnej, mówi Zenonowi, że chce go mieć na ostro, Zenek dobywa czerwoną linkę żeglarską i ją wiąże, protestuje, bo nie taką ostrość ma myśli, Zenek rozwiązuje linkę itd. Zabawę co chwila przerywają wymioty pań. Zenka denerwuje ich ciągłe wychodzenie do łazienki, przynosi więc miskę, żeby mogły rzygać w trakcie. Anetę trochę drażni, że Zenek przebieg wydarzeń rejestruje na komórkę.

Po wszystkim: Zenon jedzie do domu, Bożenka śpi na podłodze, Aneta na wersalce. Rano wstaje, bierze prysznic, suszy włosy, starannie robi makijaż, sprząta. Gdy wychodzi, dziękuje za drinka i mówi „cześć!”. Jak na ofiarę gwałtu jest nieco zbyt wylewna.

...

Bo też o gwałcie na razie nie ma mowy. Gdy Aneta jest już w domu, Bożenka przysłała SMS: „Wszystko w porządku?”. Odpowiada, że w jak najlepszym. Kilka godzin później pyta Zenona:

Gwałcik



RYS. MIROSŁAW HAJNOS

„To pytanie jest zamknięte, odpowiedz tak lub nie: czy skończyłeś we mnie?”. Zenek nie bardzo pamięta, w kim skończył, ale na zamknięte pytanie odpowiada twierdząco. Aneta pisze: „Wizyta w gabinecie ginekologicznym – 100 zł, recepta – 50 zł, tabletki – 100 zł” i podaje numer konta. Forsa wnet dociera.

Idzie do ginekologa. Chce, żeby wypisał receptę na tabletkę wczesnoporonną. Lekarz informuje, że receptę może dać tylko ofierze gwałtu. Więc: albo zgłosi policji, że została zgwałcona, albo stosunek, choć w większym gronie, będzie zmuszony potraktować jako zwyczajny. A po zwyczajnym stosunku recepta nie przysługuje.

Aneta trafia na policję 2 dni później. Zeznaje, że Zenon P. i Bożena R. zbiorowo ją zgwałcili.

Funkcjonariusze do zgłoszenia podchodzą z powagą. Z obdukcji: „Stwierdzono drobne podbiegnięcia krwawe na górnej, zewnętrznej powierzchni uda lewego, na powierzchni górnej zewnętrznej uda prawego i w okolicy nadgarstka lewego”. Zenek i Bożenka ładują za kratkami. Prokuratura oskarża ich o to, że „działając wspólnie i w porozumieniu, użyli przemocy wobec Anety Z., polegającej na szarpaniu jej, przytrzymywaniu za szyję, ciągnięciu za włosy, związaniu sznurkiem rąk i doprowadzili ją do obcowania płciowego w ten sposób, że Zenon P. odbywał z pokrzywdzoną stosunki waginalne, gryzł ją w piersi, dotykał kroczka, a Bożena R. odbywała z pokrzywdzoną stosunki oralne, całowała i dotykała rękami po całym ciele”. To nie w kij dmuchał – za gwałt zbiorowy grozi minimum 3 lata pułda.

...

Sąd Okręgowy we Wrocławiu powołał biegłego do sporządzenia opinii psychologiczno-seksuologicznej pokrzywdzonej. Wynika z niej, że Aneta Z. wykazuje podatność na uleganie wpływom z zewnątrz, ale „nie da się jedno-

znacznie wskazać, czy mogła ulec namowieniu do dobrowolnych stosunków seksualnych w tzw. trójkacie”.

Odczytanie plików z komórki Zenona P. było bardziej owocne. Co prawda okazało się, że Zenek nakręcił pornola dźwiękowego, ale brak obrazu nie naszczał większych kłopotów interpretacyjnych. Opór Anety Z. słyszalny jest w dwóch momentach: po związaniu i po próbie wpakowania jej penisa w usta. W obu przypadkach Zenon niezwłocznie spełnił wolę niewiasty.

„W pozostałym zakresie słyszalne są odgłosy współżycia, podczas którego brak jakiegokolwiek protestu ze strony Anety Z. Wypowiedziane w jego trakcie przez pokrzywdzoną słowa »ała«, »nie«, »przez brak zdecydowanego sprzeciwu, nie pozwalają na wykluczenie, iż mamy do czynienia z dobrowolnym obcowaniem płciowym» – napisali biegli po wysłuchaniu nagrania.

Obrażenia, jakie stwierdzono podczas obdukcji, eksperci określili zaś jako niewielkie zsinienia, dodając, że „nie sposób wykluczyć, iż były one wynikiem dobrowolnego uprawiania seksu”.

...

W rezultacie sąd uznał, że Aneta Z. zgodziła się na udział w trójkacie z własnej i nieprzymuszanej woli, a później ze względu na konserwatywne przekonania i takie środowisko rodzinne zaczęła obawiać się ciąży oraz ujawnienia przez Zenona P. nagrań filmowych. Spodziewała się bowiem, że seksualne wyczyny uwiecznił w formie obrazkowej. O tym, że bała się niepotrzebnie, bo ani nie zaciążyła, ani Zenon nie nakręcił filmu, dowiedziała się, gdy postępowanie było już toku.

W uzasadnieniu wyroku czytamy: „Pokrzywdzona miała pełną swobodę przemieszczania się po mieszkaniu, w międzyczasie wychodziła do toalety i nic nie stało na przeszkodzie, aby opuściła mieszkanie, czego jednak nie uczyniła. (...) Zachowanie pokrzywdzonej bezpośrednio po zdarzeniu, przejawiające się w tym, iż nie opuściła ona pośpiesznie mieszkania oskarżonej po przebudzeniu, jak również w okresie późniejszym nie artykułowała pod adresem oskarżonych żadnych pretensji, rodząca uzasadnione wątpliwości co do przebiegu zdarzenia. (...) Z zeznań świadków wynika, że po zdarzeniu była przerażona faktem jego nagrania, obawiała się, że został utracony wizerunek, a nagranie może się gdzieś ukazać. Bała się przy tym reakcji swoich rodziców, będących osobami bardzo religijnymi i konserwatywnymi. Nie sposób więc wykluczyć, iż istniejąca u pokrzywdzonej obawa przed niechcianą ciążą, przed upublicznieniem faktu współżycia z oskarżonymi skłoniła ją do podjęcia decyzji o zgłoszeniu wykorzystania seksualnego”.

Zenon P. i Bożena R. zostali uniewinnieni, choć sąd zaznaczył, że wybrał wersję wydarzeń, „która dla oskarżonych jest najkorzystniejsza, co nie wyklucza tego, że mogło być inaczej, nie zdołano tego jednak ustalić w sposób stanowczy”.

Morał: katolicki uczestniczące w trójkątach trzeba nagrywać.

MACIEJ MIKOŁAJCZYK
mikolajczyk@redakcja.nie.com.pl

Wieści gminne i inne

Na gorącym uczynku wybiecia szyb w samochodzie na parkingu w Łebie został złapany przez właściciela pojazdu 33-letni mieszkaniec Łęborka. Gdy właściciel auta spytał go, dlaczego niszczy jego samochód, sprawca, który zdążył już wybiec dwie boczne szyby, okazał wyrażne zaskoczenie i zaczął przeproszać. Okazało się, że pomylił samochody i było mu z tego powodu przykro.

Na policję w Toruniu zadzwonił nocą 44-letni mężczyzna. Powiedział, że jest niewidomy i nie może trafić do domu. Twierdził, że jest mu tak zimno, że nie może się ruszyć. Wszczęto poszukiwania, ale mężczyzna nie umiał powiedzieć, gdzie się znajduje. Znalaziono go po 1,5-godzinnych poszukiwaniach. Siedział na zamrażniętej kaluży. Miał złamaną nogę i był kompletnie pijany, bo – jak przyznał po wytrzeźwieniu – odwiedził przyjaciela i spożył z nim znaczną ilość alkoholu.

Do tragicznej pomyłki doszło w krematorium w Częstochowie. Pracownicy pomylili się i spalili nie te zwłoki, które powinni. Rodzina skremowanego, która chciała go

pożegnać w częstochowskiej kaplicy, doznała szoku, widząc w trumnie ciało innej osoby. Śledztwo w tej sprawie zostało umorzone, bo prokuratura ustaliła, że pracownicy krematorium nie działali umyślnie. Rodzina skremowanego złożyła zażalenie na tę decyzję. Dobrze, że nie spalili kogoś żywego.

Nocą w Sulechowie na ul. Wiśniowej kierowca toyoty wjechał w 2 samochody i uciekł. Policja złapała go kilkanaście minut później. Był pijany – ponad 2 promile. Pechowym kierowcą okazał się 29-letni Michał K., asystent opolskiego posła Kukiz '15 Pawła Grabowskiego, który natychmiast wylądował z roboty. – Jest mi bardzo przykro, jestem dobrym człowiekiem, udzielam się charytatywnie – zapewnia Michał K., którego kariera polityczna stała pod znakiem zapytania.

80-letni mężczyzna, trzeźwy, ale uzbrojony w siekiery, pojawił się na parking przy przedszkolu w Grabownicy Starzeńskiej w powiecie brzozowskim. Wybił szyby w jednym z samochodów, a następnie zaczął grozić przechodniom. Rozjuszony go szczególnie widok policjantów. Ruszył na nich z siekierami. Nie umiał podać powodów takiego zachowania, dlatego wysłano go na obserwację do szpitala psychiatrycznego. Gdyby postępować tak wobec kasty rządzącej, wariatkowo stałoby się centrum życia politycznego.

25-letni mieszkaniec Bielawy zaprosił 17-letniego kolegę. Najpierw pił z nim wódkę, ale potem pogniwał się na niego, pobił, wciął przez kilka godzin, aż wreszcie wyrzucił w białiznę na mroź. Nastolatkiwomogli przechodnie, a 25-latkę odwiedziła policja i znalazła u niego krzewy konopi oraz słoik z suszem. Trafili do aresztu i odpowie przed sądem, który być może uzna za okoliczność łagodzącą fakt, że przed wyrzuceniem kolegi na mroź pozwolił mu założyć buty.

Pracownicy Zarządu Budynków Mieszkalnych w Rzeszowie i strażnicy miejscy weszli do mieszkania na II piętrze kamienicy przy ul. Króla Kazimierza, którego lokator, 50-letni Piotr K., zalegał z czynszem. Znaleźli go, częściowo zmuflifikowanego, pod koldrą. Jak ustalono, leżał tak około dwóch lat. – Nagle przestał się pokazywać, szukaliśmy go nawet w piwnicy, ale nikomu do głowy nie przyszło, aby sprawdzić mieszkanie. Myśleliśmy, że może siedzi w więzieniu, bo ciągle miał coś za uszami – mówią sąsiedzi. Sekcja zwłok nie wykazała bezpośredniej przyczyny zgonu zalegającego z czynszem lokatora.

38-letni mężczyzna przyszedł na posterunek policji w Choroszczy i opowiedział o dziwnym zachowa-

niu 60-letniego znajomego. Obaj panowie pili wódkę, a gdy młodszy spał się do nieprzytomności, starszy związał go i przez kilka godzin bił. Groził też siekierą. Puścił go wolno dopiero po podpisaniu oświadczenia, że po uwolnieniu nie będzie rościł pretensji do zachowania gospodarza. Podpisane oświadczenie okazało się nic niewarte. Oskarżonym o pobicie i pozbawienie wolności zajął się prokurator.

35-letni Jarosław F., rolnik z Woli Skromowskiej pod Lublinem, pokłócił się z żoną. Po kłótni wsiadł do samochodu i pił wódkę.



RYS. TOMASZ WĄTER

Zasnął, a gdy się obudził, postanowił pojechać do gospodarstwa. Jego jazda zwróciła uwagę policji, która ruszyła za nim w pościg. Rolnik nie dawał za wygraną, pędził, nie zważając na inne samochody, aż skręcił w polną drogę, aby zgubić ścigające go radiowoz. Wreszcie staranował blokadę i ugrzązł w polu. Próbował uciec pieszo, ale nie dał rady. Po zatrzymaniu tłumaczył, że nie widział blokady policyjnej. Rozliczył go sąd w Lubartowie.

Prawomocny wyrok 1,5 roku więzienia w zawieszeniu i 2 lata zakazu zajmowania stanowisk kierowniczych usłyszał wójt Radeckizny, 50-letni Edward P. Wyrok sądu w Zamościu dotyczył grzechów sprzed dziesięciu lat, gdy Edward P. zajmował stanowisko dyrektora szpitala psychiatrycznego w Radeckizny. Dopuszczał się molestowania seksualnego kobiet. Panie, które go oskarżały, zeznały, że dotykał je w miejsca intymne, całował, nękał SMS-ami i telefonami, proponował wspólne seksywieczki. Dostanie pracy w szpitalu uzależniał od świadków „w naturze”. Wyrok oznacza, że wójt musi pożegnać się ze stanowiskiem. Może jeszcze odwołać się do sądu administracyjnego, ale nie wie, czy to robi.

D.J.

Doniesienia zaczerpnięte zostały w dobrej wierze z prasy lokalnej jako godne upowszechnienia.

Dożywocie dla prezydenta

Polacy wierzą w zmartwychwstanie Chrystusa. W ślad za tym idzie orzecznictwo sądowe. Można zostać zabitym, ożyć i odzyskać siły, by zostać zabitym ponownie. Choć niekoniecznie na krzyżu.



RYS. MIROSŁAW HAJNOS

1 lutego w Sądzie Apelacyjnym w Katowicach zapadł wyrok w sprawie drastycznego morderstwa. Lech F. miał zginać od ciosuadanego kijem bejsbolowym w głowę. Cios był potężny. Rozłupał czaszkę i uszkodził naczynia krwionośne. Do głowy Lecha F. wlało się 400 ml krwi, czyli prawie pół litra.

W tym stanie Lech F. wyprostował się. Zerwał taśmę klejącą, którą skrupowano mu za plecami dłonie. Jego kolejny oprawca chciał z nim tylko porozmawiać. Przekonać do rezygnacji z windykacji długu, lecz nagle zmienił zdanie i zarzął go nożem. Następnie wyjął telefon komórkowy i pochwalił się, co zrobił. Tym samym przypieczętował na siebie wyrok, a śledczym dał do ręki jedyny dowód winy. Telefon komórkowy bowiem zaregował się w najbliższej stacji przekątnikowej BTS.

Tym ostatecznym mordercą ma być Jerzy Gołubowicz, który jeszcze 11 lat temu był prezydentem Zabrza z nadania SLD. Powołany przez sąd psycholog stwierdził, że ma on osobowość nieufną, jest podejrzliwy i skryty. Odnotujemy te cechy. Dodajmy do nich, że przed prezydenturą i po niej zajmował się pracą naukową na Politechnice Śląskiej; specjalizował się w teleinformatyce, systemach GPS, modelowaniu matematycznym, kodowaniu i dekrypcji. Ten człowiek miał na miejsce zbrodni wziąć swój telefon komórkowy i wykonać z niego połączenie.

To nie ja zabiłem

Raz już Sąd Okręgowy w Katowicach skazał byłego prezydenta na więzienie. Wina nie ulegała wątpliwości. Sąd Apelacyjny zmiażdżył tamten wyrok. Kazał proces ponowić. Wskazał, czego sąd okręgowy nie zrobił. Sąd okręgowy znów skazał Gołubowicza, ale tym razem sędziowie apelacyjni wyrok ten potwierdzili.

Gołubowicz twierdził wtedy, że jest niewinny, i dziś to podtrzymuje. Mówi, że uknuto spisek. Potwierdzają to pewne fakty. Gdy był prezydentem, złożono mu propozycję korupcyjną, a gdy jej nie przyjął, szantażowano rzekomo zaciągniętym długiem. Sprawę zgłosił policji, jest więc obszerny materiał dowodowy. Bandyci, wynajęci rzekomo przez niego, nie rozpoznali go w sali rozpraw. Gdy rozpoczął się ponowny proces, prokuratura została powiadomiona o tym, że obrońca Gołubowicza próbuje przekupić sędziów. Następnie pojawił się nowy świadek, który miał wiedzieć o wszystkim, co kazał wyjaśnić sąd apelacyjny. Okazało się, że świadek był podstawiony. Nieudolnie kłamał, lecz nie ustalono, kto tego prowokatora wynajął. Podobnie jak nie wyjaśniono, kto był autorem donosu na temat próby przekupienia sędziów.

Nadajnik w slipkach

Dla byłego prezydenta Zabrza sprawa zaczęła się w 2005 r. Przyszedł wtedy do niego Lech F. ze sfałszowaną umową pożyczki. Na kartce z podpisem Gołubowicza widniała kwota 246 tys. zł. To, jak się na kartce znalazł jego podpis, można łatwo wyjaśnić. Lech F. był synem jego bliskiej znajomej. Razem prowadzili księgarnię. Gołubowicz znał F. od dziecka i traktował jak członka rodziny.

Lech F. począł pieniądze na procent, choć nigdy nie były to tak duże kwoty. Oficjalnie był bezrobotnym na utrzymaniu mamusi. Przypuszczalnie działał jako tzw. słup i obracał nie swoimi pieniędzmi.

Również wtedy, gdy żądał zwrotu rzekomego długu, działał nie w swoim imieniu. Gołubowicz powiadomił policję. Ta zamontowała w gabinecie prezydenta kamerę oraz podsłuch. Lecz Lech F. był bardzo ostrożny. Nic nie mówił, tylko pisał na papierowych karteczkach. I kazał tak samo odpowiadać. Potem karteczki zabrał.

Następne spotkanie wyznaczył prezydentowi w aquaparku. Gołubowicz miał być wyłącznie w slipkach. Policjanci założyli w nich mikronadajnik i rozmowa została wreszcie nagrana. Lech F. – jak mówił – reprezentował grupę przedsiębiorców, którzy proponowali deal. Oni kupią rozpadający się hotel robotniczy. Prezydent podejmie

decyzję o przejęciu go na własność miasta. W zamian przekaze atrakcyjny teren położony obok powstającej trasy ekspresowej, biegnącej przez aglomerację katowicką. Następnie umowa pożyczki zostanie anulowana.

Prokuratura sprawę umorzyła. „Nie znaleziono znamion czynu zabronionego w postępowaniu Lecha F.” – stwierdziła. Mocodawcami Lecha F. się nie zajmowała. Jakies materiały ma na ten temat policja, ale do dziś wszystkie są utajnione. Sąd cywilny uznał zaś, że Gołubowicz musi oddać rzekomo pożyczone pieniądze. Jednak już nie niecałe ćwierć miliona, ale okrągły milion. Takie zasądzono odsetki.

Gołubowicz przestał być prezydentem. I przestał mieć znaczenie dla biznesmenów. Lech F. miał wyrzuty sumienia – byli prawie rodziną. Najpierw powiedział, że anuluje dług w zamian za pomoc w przygotowaniu doktoratu. Następnie wstrzymał egzekucję długu. Było to na kilka dni przed zabójstwem.

Kilerzy po 300 zł

Szukając płatnych oprychów, najlepiej pytać o to nieznajomych. Istnieje co prawda obawa, że można trafić na konfidenta, lecz prokuratura i 3 składy sędziowskie uznały, że nieufny oraz podejrzliwy naukowiec poszedł do przypadkowej osoby i powiedział jej, że zamierza wynająć zbirów. Gołubowicz miał udać się w tym celu do mechanika samochodowego. Wiadomo, że jak szukać zabójców, to tylko w jakimś warsztacie.

Mechanik wynajął trzech bandytów. Powiedział, co mają robić, a po pracy zapłacił po 300 zł na głowę. Pieniądże dostał od byłego prezydenta, którego ci nie widzieli na miejscu zbrodni. Do której doszło 17 sierpnia 2008 r. w lasach w pobliżu Wymysłowa. Jest to wieś w powiecie będzińskim, oddalona od Katowic o jakieś 20 km.

Tego dnia Gołubowicz był w Sieroniowicach na Opolszczyźnie. Godzinę jazdy autem od wspomnianych wymysłowskich lasów. Jako naukowiec dokumentował tam skutki przejścia trąby powietrznej. Tego nie dało się zakwestionować, gdyż na wykonanych przez niego fotografiach widnieli policjanci, którzy go rozpoznali. Następnie miał się udać do mieszkania córki w Rudzie Śląskiej. Jak twierdzi, widzieli go jej sąsiedzi, wnosili więc o ich przesłuchanie. Na wszelki wypadek tego nie uczyniono, gdyż w tym samym czasie miał właśnie zarzynać Lecha F. Upadłaby główna hipoteza śledztwa. A dziś jest już zbyt późno, aby to zrobić.

Prokuratura przyjęła następujący przebieg zdarzeń. W imieniu Gołubowicza mechanik wynajął trzech zbirów. Na dany znak wszyscy mieli wskoczyć do auta, pojechać do Wymysłowa i zacząć się w lesie. Gołubowicz zaś, tworząc sobie alibi, pojechał w drugą stronę świata. W Sieroniowicach sfotografował policjantów, po czym szybko dojechał do Wymysłowa, po drodze zgarniając Lecha F.

Mechanik siedział w aucie zaparkowanym pod lasem i robił za koordynatora całej akcji. Przez telefon kontaktował się raz z Gołubowiczem, a raz ze

zbiarami w lesie. Były prezydent nadjechał. Razem z Lechem F. ruszył do lasu. Szli jednak nie obok siebie, zatem żaden z bandytów Gołubowicza nie widział.

Lech F. kroczył leśnym traktem. Nie ustalono, dlaczego nie czekał na byłego prezydenta Zabrza i gdzie mu się tak spieszyło, choć to Gołubowicz ściągnął go w to miejsce i miał być przewodnikiem po lesie. W ten sposób pomagał zebrać materiał do pracy doktorskiej dotyczącej leśnictwa. I gdy Lech F. kroczył naprzód, z naprzeciwka nadbiegł jakiś biegacz. Był to jeden ze zbirów. Przebiegając obok, znienacka uderzył Lecha F. łokciem w twarz. Inny zbir wyskoczył z krzaków i napadniętemu podciął nogi. Kolejny przyłożył mu bejsbolem. Raz w okolice żeber, raz w głowę. Biegła stwierdziła, że późniejsze obrażenia nie miały znaczenia. Ten cios był śmiertelny.

Następnie bandyci skrupowali taśmą klejącą nogi Lecha F. oraz jego ręce. Zalepili nią ofierze usta. Po czym poszli, pozostawiając Lecha F. na łasce byłego prezydenta, który wtedy dopiero nadszedł. Zobaczyli go po raz pierwszy na sali sądowej.

Z rozłupaną głową i gwałtownie narastającym obrzękiem mózgu, zdaniem prokuratury oraz trzech składów sędziowskich (dwóch w sądzie okręgowym i jednego w sądzie apelacyjnym), Lech F. nie tylko był przytomny i potrafił przyjąć pozycję pionową, lecz nawet miał więcej sił niż przeciętny siłacz i rozerwał taśmę krępującą mu ręce za plecami. Gołubowicz wtedy jeszcze chciał z nim jedy-

nie porozmawiać. Podsunąć do podpisu oświadczenie o ostatecznej rezygnacji z długu.

Zerwał mu z ust taśmę klejącą. Następnie zmienił zdanie, stanął za Lechem F. i 3 razy wbił mu nóż w klatkę piersiową, po czym 2 razy podciął gardło. Ciosy i cięcia były potężne. Jedno z nich omal nie odcięło ofierze głowy.

A niski (ok. 165 cm wzrostu) naukowiec, choć praworęczny, miał je zadawać lewą ręką. Dla niepoznaki. Sędziowie uznali, że dla praworęcznej osoby sprawne posługiwanie się nożem trzymanym w lewej ręce nie stanowi najmniejszego problemu. Noża nie odnaleziono.

Ustalono również, że mord miał krwawy przebieg, lecz na ubranie i ciało byłego prezydenta nie spadła najmniejsza kropla krwi ofiary. W dodatku, zarówno przy oprawianiu Lecha F., jak i wcześniej, przy zrywaniu mu taśmy z ust, Gołubowicz nie pozostawił na ciele Lecha F. własnych śladów biologicznych. Nie stało się to również później, gdy ścinał gałęzie sekactorem i przykrywał nimi trupa. Tyle krwi, tyle pracy i nigdzie ani odcisku DNA. Gołubowicz z miejsca zbrodni zadzwonił do mechanika, pochwalił za sprawną akcją, po czym pojechał na zakupy. To miał być kolejny element alibi. Sfilowały go kamery Makro Cash & Carry w Zabrzu – spokojnego jak po dniu wykładowym na uczelni.

Później badano samochód Gołubowicza. Żadnych śladów. To znaczy sporo, ale innych. Mnóstwo śladów gleby oraz nawierzchni żużlowej z innych lasów na kołach, na karoserii, wewnątrz. I zero tej, która jest w okolicach Wymysłowa. Ale po latach biegły, przesłuchiwany ponownie w powtarzanym procesie, przypominał sobie, że znalazł ślady roślin tam rosnących. Był to ważny argument za winą Gołubowicza, choć rośliny te można spotkać także gdzie indziej.

Prezydent na dożywocie

Kilkanaście godzin po zabójstwie ciało odkrył pies jakiegoś grzybiarza. Gdy śledczy ustalili tożsamość denata, pojechali do jego mieszkania. Tam na stole znaleźli umowę pożyczki. I mieli zabójcę.

Tym bardziej że Gołubowicza wskazał mechanik. Człowiek, który zwerbował fachowców od mokrej roboty, który koordynował całą akcję w Wymysłowie, a po niej zapłacił każdemu po 300 zł, okazał się bardzo gorliwym współpracownikiem organów ścigania i sądu. Został skazany na 2 lata więzienia z warunkowym zawieszeniem kary na czas próby i w sądzie występował jako świadek.

W apelacji od wyroku skazującego byłego prezydenta Zabrza za zabójstwo obrońca napisał o procesie: „farsa”. Wymienił litanię pomyłek sądu oraz zwyczajnych kłamstw. Miał pretensje, że uparcie odmawiano przesłuchania policjanta, który prowadził śledztwo w sprawie szantażu prezydenta Zabrza. Jednego nie mógł podważyć. Tego, że telefon komórkowy byłego prezydenta logował się w okolicy Wymysłowa. Gdyż ten specjalista od teleinformatyki i systemów GPS zapomniał, że na miejscu zbrodni nie należy z telefonu korzystać. Próbowano dowodzić, że karta SIM mogła zostać wcześniej sklonowana. Każdy, kto zmieniał model telefonu na nowszy, wie, że taka operacja zajmuje dosłownie dwie minuty. Ale sędziowie uznali, że nie jest to najważniejsze. W końcu mechanik złożył obszernie i wyczerpujące zeznania.

Z całą pewnością wszystkie 3 sądy nie odpowiedziały na pytanie, czy Jerzy Gołubowicz zabił. Zabił czy nie, dostał 25 lat paki. Dla 70-letniego to jak dożywocie. Bandyci dostali wyroki od 8 do 15 lat więzienia. Jeden już teraz może ubiegać się o przedterminowe zwolnienie.

MATEUSZ CIEŚLAK
mcieslak@redakcja.nie.com.pl

Już niedługo adopcje w Polsce mogą się odbywać wyłącznie za pośrednictwem Kościoła kat.

Nikt ich nie chciał. Mamusia, tatuś, krewni. A jak urodzisz się pod ławą, trudno na nią wleźć. Trudno wydostać się z bidula. Chociaż więc choć stan prawny siostr został uregulowany i bardzo czekały na nową mamę, żadna nie pojawiła się na dłużej. Owszem, przychodziły panie. Oglądały jak pieski w schronisku.

– Chemii między nami nie ma – mówiły.

Ośrodek Adopcyjny TPD za pośrednictwem amerykańskiego pośrednika znalazł rodziców w USA. Przyjechali do Polski. Sąd przyklepał związek.

Samolot leciał długo. Może więc po drodze dorosli się rozmyśli. A może od początku chcieli tylko jedną dziewczynkę. Tak czy siak, drugą oddali znajomym. W majestacie amerykańskiego prawa, bo siostry były już obywatelkami USA.

Nowi rodzice zauważyli, że dziewczynka była w przeszłości molestowana seksualnie. Blizny na narządach płciowych wskazywały, że nie chodziło o drażnienie lechtaczki kwiatkiem. Lekarz. Szeryf. Informacje do Polski. Obciach.

To znana historia. Z powodu siostr adopcja polskich dzieci za granicę jest możliwa tylko za pośrednictwem Kościoła kat.

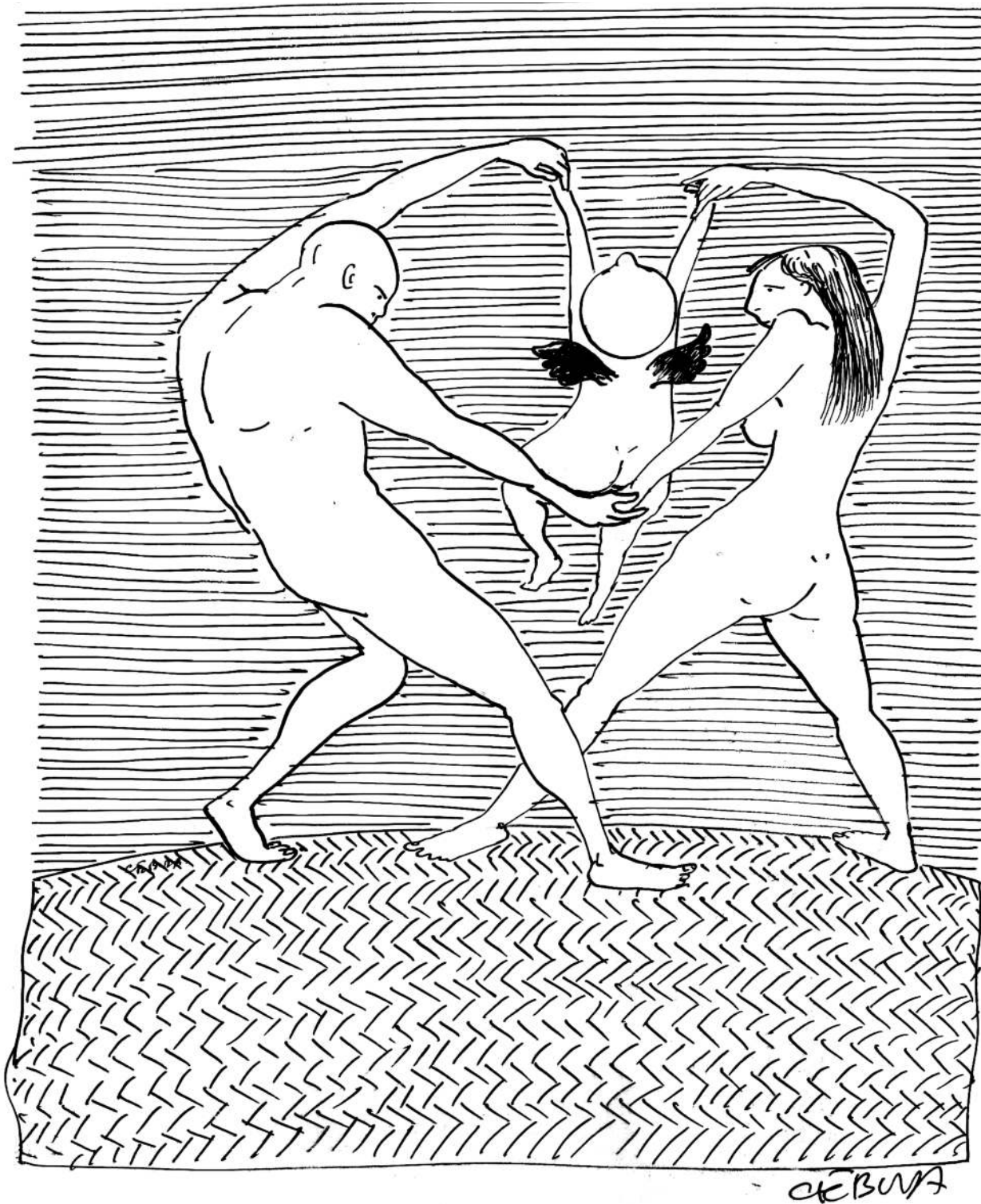
Zombie

Na rynku funkcjonowało trzech pośredników. Państwowy ośrodek w Warszawie, Krajowy Ośrodek Adopcyjny Towarzystwa Przyjaciół Dzieci i Katolicki Ośrodek Adopcyjny.

Do adopcji zagranicznej trafiało co roku około 300 dzieci. Zbyt chorych bądź zbyt starych jak na wymagania polskich rodzin. Polska jest jednym z poważniejszych eksporterów tego towaru – obok Bułgarii, Rumunii, Ukrainy, Rosji.

Np. w ciągu 16 lat do USA adoptowano 1254 polskie dzieci. 2069 bułgarskich. 10 546 ukraińskich. I tylko

Polaczątka dla katolików



Rys. HENRYK CEBULA

dwoje włoskich, dwoje fińskich. Można powiedzieć, że tracimy wielu małych obywateli. Ale jeśli się weźmie

pod uwagę, że 80 tysięcy polskich dzieci jest skazanych na bidule i rodziny zastępcze...

Jak wiadomo, za rządów PiS Polska przestała być krajem trzeciego świata. Koniec z pozbywaniem się małych

Polaków tylko dlatego, że gorzej rokuje. Poza tym wcale nie jest tak, że do adopcji zagranicznych trafiają dzieci, których nikt nie chce. Dowód: tylko 20 procent małych rodaków oddanych w cudze ręce ma orzeczoną niepełnosprawność – wywiódł przy okazji amerykańskich siostr wiceminister rodziny, pracy i polityki społecznej Bartosz Marczuk.

Minister ma rację co do orzeczonych niepełnosprawności, ale w wielu przypadkach nie było potrzeby tworzenia takiego dokumentu. Wystarczy przecieć, że zdiagnozowano Downa. Bywa też tak, że maluch ma FAS (płodowy zespół poalkoholowy) bądź RAD (zespół zaburzeń więzi). Takie rozpoznania nie są kwalifikowane jako niepełnosprawność. Choć FAS to spowolniony rozwój fizyczny i uszkodzony ośrodkowy układ nerwowy, skutkujący nie tylko zmianami w budowie ciała, ale również brakiem odczuwania emocji. RAD, następstwo krzywdzenia we wczesnym okresie życia, uniemożliwia nawiązanie normalnych relacji. Czyli zamienia bachora w zombie.

Tak było z Kasią. Adopcja wystraszonej 6-latki nie zakończyła jej problemów. Ani przenosiny z Pruszkowa do Warszawy. Okaleczała się, wagarowała, kłamała, kradła. Z każdym rokiem było gorzej. Po siedmiu latach nowi rodzice zwrócili się do sądu o rozwiązanie adopcji. Bali się o swoje życie.

Dla Kasi byłoby lepiej, gdyby trafiła do adopcji zagranicznej. Belgowie czy Szwedzi nie są lepszymi ludźmi, ale mają rozbudowany system pomocy dla takich jak ona. Może więc wyrzesałiby z niej ludzkie uczucia. A przynajmniej lepiej rozumieliby, dlaczego dziewczyna nie potrafi zaufać.

Dziatki albo majtki w kratki

W wyniku ministerialnego rozporządzenia monopol na adopcję zagraniczne uzyskały ośrodki katolickie. Bo lepiej rokuje. Bo to nie katolicki ośrodek wysłał siostry do USA (choć też współpracował z amerykańskim pośrednikiem, który dał ciała).

Oprócz Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego rozszerzy działalność Diecezjalny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy w Sosnowcu. Ten ma przejąć 8 spraw prowadzonych do tej pory przez niekościelne ośrodki.

Kiedyś warunki wobec kandydatów na rodziców stawiane przez Katolicki Ośrodek Adopcyjny były jasne. Wszystko to samo, co u pozostałych pośredników. Chęć szczerą. Stabilność emocjonalna. Warunki materialne. Stosowny wiek. Warunek dodatkowy: najlepiej, jeśli przyszli rodzice należą do Kościoła. Jeden woli dziatki, drugi majtki w kratki. Póki był wybór...

Czy dziś, w sytuacji gdy katolicki ośrodek staje się monopolistą, w dalszym ciągu rezerwuje swoje usługi wyłącznie dla wierzących?

Na stronach Katolickiego Ośrodka Adopcyjnego brak informacji o wy-



■ Zawsze po wypadku ludziom się współczuje, zwłaszcza znanym ludziom, nawet osoby, które poszkodowanych niezbyt lubią, zmniejszają krytykę. Oni zachęcają do reakcji odwrotnej, żeby przełamać ten naturalny trend psychologiczny. Zabranie ludziom takich naturalnych odruchów doprowadzi do takich sytuacji, jakie miały miejsce w Łodzi, gdzie **działacz Platformy Obywatelskiej zabił** działacza Prawa i Sprawiedliwości. (...) To zachowanie poważne i celowe. Dla swoich racji politycznych ktoś uderza w drugą stronę w sposób niebezpieczny. Następnym razem może się skończyć nie tylko na żartach i pogroźkach, ale tak jak w Łodzi, a w pewien sposób i w **Smoleńsku**.

Tomasz Sakiewicz, Telewizja Republika, 14 lutego

■ **Św. Walenty** to istotnie **patron ciężkich chorób umysłowych**, a więc chorób dogłębnie zniewalających człowieka. To patron służący wyzwoleniu człowieka ze zła. Może w tym roku ten patro-

nat św. Walentego powinien być szczególnie zauważony. Kiedyś zróżnicowane choroby umysłowe traktowano jako opętanie. Dziś, gdy patrzymy na działania, postawy, zachowania niektórych ludzi, choćby tych **komentujących** ostatni **wypadek z udziałem Pani Premier**, warto modlić się za wstawiennictwem św. Walentego o cud uzdrowienia z tych stanów umysłu.

ks. prof. Paweł Bortkiewicz, Fronda.pl, 13 lutego

■ Choć Walentynki wywodzą się ze wspomnienia katolickiego męczennika, to współcześnie dzień **świętego Walentego** staje się okazją dla **promocji wulgarności**. Sprowadzanie miłości do aspektu cielesnego czy banalnego romantyzmu klóci się jednak z katolickim spojrzeniem na tę kwestię. (...) Sprowadzanie miłości do pięknych uczuć, gustownych podarków i miłych chwil to gotowa recepta na **rozpad związku**.

Marcin Jendrejczak, PCh24, 14 lutego

■ **Hybrydową wojnę** przeciwko Polsce toczy dziś – na śmierć – w zewnętrznym interesie, wykorzeniony z polskości wewnętrzny agresor, tj. **połączone siły pokomunistyczno-lewackie** i zło-dziejskie. Nie wolno nam udawać, że nic się nie dzieje, że nie widzimy tego! Proszę moich kolegów, wszystkich uczciwych Polaków o **medialny i towarzyski bojkot** ujawniających się bezwstydnie i ostantacyjnie barbarzyńców kulturowych, nienawistników i dziczy medialnej.

Krystyna Pawłowicz, Facebook, 11 lutego

■ Bez radykalnego bojkotu chamskiej, brutalnej opozycji Polacy nie zobaczą ich prawdziwej twarzy. Myślę, że TVP nie musi być pluralistyczna w taki sposób, że musi zapraszać ludzi, w sposób oczywisty na to nie zasługujących. Czy zaprosilibyśmy do rozmowy **Urbana, Palikota, Szczerbę czy Rozenka**? Myślę, że przedstawiciele obecnej władzy, obrażani i upokarzani przez Neumannów i Szczerbów, Środy i Shoeringów-Wielgusów nie powinni udawać, że nic się nie stało i że **plucie barbarzyńców** jest padającym deszczem.

Pawłowicz, Fronda.pl, 14 lutego

■ Dla Polski, w sensie Kościoła i państwa polskiego, uświadomienie sobie na nowo tej życiodajnej prawdy, że każda **władza pochodzi od Boga**, jest fundamentalnie ważne. Polska będzie się wspaniale odradzać, jak każdy Polak będzie trwał w tej niepodważalnej prawdzie, że Pan Bóg objawiony w Jezusie Chrystusie jest źródłem każdej władzy na ziemi.

prof. Tadeusz Guz, homilia, 10 lutego

■ Swoim wysiłkiem, swoim cierpieniem, swoją determinacją stanowiliście i stanowicie wzór dla całej armii, dla całego narodu. Armia dzisiaj Wam dziękuje. Jestem dumny, że mogę w imieniu armii i państwa polskiego wręczyć te patenty (...). Wtedy, gdy byli tylko szki zaciężne, to wy tworzyliście **armię duchową**. Dzięki temu żołnierze polscy bez względu na to, jakie musieli wykonywać

rozkazy zawsze pamiętali, że mają obowiązek służyć Bogu i Ojczyźnie. Ta myśl przetrwała i stała się źródłem odbudowy polskiej armii, to dzięki Wam w olbrzymim stopniu tak jak przywracamy dzisiaj do polskiej tradycji, do znaków polskiej armii, do jej historii do jej fundamentów, żołnierzy niezłomnych, tak przywracamy też **księży niezłomnych**, czyli Was.

Antoni Macierewicz, na uroczystości mianowania na stopień podporucznika księży, którzy odhli służbę wojskową w kleryckich jednostkach Ludowego Wojska Polskiego, 12 lutego

Wybrał
WALDEMAR KUCHANNY
wkuchanny@redakcja.nie.com.pl



Rys. TOMASZ WIATEK

maganiach wobec przyszłych rodziców. Są tylko telefony kontaktowe i godziny przyjęć interesantów.

Tylko katolik

Diecezjalny Ośrodek Adopcyjno-Opiekuńczy w Sosnowcu działa przy Diecezjalnym Centrum Służby Rodzinie i Życiu. To zaś funkcjonuje w ramach Duszpasterstwa Rodzin Diecezji Sosnowieckiej. Jesteś w ciąży? To niechciana ciąża? Zgłoś się. Prowadzimy szkołę rodzenia. Pomozemy zaakceptować ten stan. Znaleźć miejsce w domu samotnej matki. Dajemy gwarancję, że dzieciak nie wyładuje na śmietniku.

Ośrodek nie ma żadnego doświadczenia w prowadzeniu adopcji zagranicznych.

– Nie zabiegaliśmy o to i nie wiemy, z jakich powodów zostaliśmy o to poproszeni – wyjawia dyrektor Elżbieta Dziubaty.

Podjęła się zadania. Czyli zweryfikuje ustalenia poczynione przez ośrodki, które zjadły zęby w wysyłaniu bezpańskich kalek do lepszego świata.

Streszczam rozmowę z dyrektorem Dziubaty, opublikowaną na www.diecezja.sosnowiec.pl

Na dziecko mogą liczyć małżeństwa sakramentalne z co najmniej 5-letnim stażem. Osoby praktykujące, gwarantujące przekaz wiary i wartości, które ona niesie. Weryfikacja nie odbywa się na oko. Musi być opinia wystawiona przez parafię. Z braku laku może się zdarzyć, że ośrodek zaakceptuje rodzica wyznającego prawosławie. Jednak w ogóle nie współpracuje z osobami po rozwodach i niewierzącymi czy reprezentantami innych wiar niż chrześcijańska.

Czy taka selekcja rodziców ma na celu dobro przyszykanych dzieci?

Jeśli ktoś rozumie przez to, że bogobojni rodzice skłonni są przygotować chore czy starsze dzieci, odpowiedź brzmi: nie.

Najbardziej oddani katolicy też wolą małżeństwa z okna życia. Mogą być niemowlaki. „Najstarsze adoptowane w tym roku dziecko miało 8 lat” – przyznała dyrektorka.

Zakonne Domy Samotnej Matki. Zakonnice prowadzą 7. Dla kobiet w ciąży i z małymi dziećmi, góra do dwóch lat.

Zakonne domy dziecka. Doliczyłam się 43, niektóre mają do 100 miejsc. Tylko w województwie dolnośląskim 6 placówek z 232 miejscami. Np. placówka wielofunkcyjna Zgromadzenia Sióstr Św. Elżbiety w Legnicy przyjmuje dziewczynki i chłopców w wieku od 3 lat. Zgromadzenie sióstr kapucynek z Lublina – od lat 2. Tak samo salezjanki z Łodzi. „Wiosna” prowadzona przez Zgromadzenie Sióstr Szkolnych de Notre Dame w Krzydlinie Małej rozciąga opiekę nawet nad noworodkami. Podobnie siostry służebniczki z lubelskich Tuligłowów.

Domy Pomocy Społecznej dla Dzieci. 61. Niektóre to molochy, np. dom benedyktynek misjonarek w Elku (110 miejsc), samarytanek

w Pelplinie (113 miejsc) czy szarytek w Wejherowie (115). Bywa, że przyjmują nowo urodzone pensionariuszki (Zgromadzenie Sióstr św. Elżbiety w Łopiennej).

Ośrodki wychowawcze. 42. Np. sióstr św. Józefa dla niepełnosprawnych intelektualnie w Polanicy Zdroju (100 miejsc) czy felicianek dla dzieci z niedokształceniem mowy o typie afazji (35).

Placówki leczniczo-wychowawcze dla dzieci. Np. dla epileptyków w Tworogu (50 miejsc), z dysfunkcją narządu ruchu w Częstochowie (60) oraz Wierzbicach (50) i Smolcu (60). Narządów mowy w Otwocku (64). Z niedorozwojem fizycznym i psychicznym w Klenicy (34). Trudno policzyć, ile ich jest, bo niektóre nie deklarują liczby miejsc i wieku pensionariuszy.

(źródło: www.zakonyzenskie.pl).

Tylko dobry katolik

Jak się czytać w prasę katolicką, zajmującą się adopcją, staje się jasne, że katolik katolikowi nierówny. Nie wystarczy zatem, że parę połączył ksiądz. Ani nawet, że proboszcz wystawił jej zaświadczenie: „Zasługują na dziecko”. Złe, jeśli ona goni go do sakramentów. Religijność obojga małżonków musi być zadowalająca. Ich rozwój duchowy nie może zatrzymać się na poziomie dziecka z drugiej klasy podstawówki.

Uwaga: jest możliwe, że małżonkowie przeżyją nawrócenie podczas procesu adopcyjnego, np. w trakcie dyskusji, jak zamierzają kształtować postawy religijne u dzieci. Takie spotkania „doprowadzają człowieka do stanięcia sam na sam z Panem Bogiem”.

To ma głębszy sens. Porzucone dzieci stawiają sobie pytania, dlaczego nie chciała ich własna matka. Czy przyszły na świat dlatego, że zrobiło się za późno na aborcję? Słabo wierzący nowi rodzice mogą nie poradzić sobie z odpowiedzią. Wtedy bachor staje się cyniczny lub ucieka w nałogi. Adoptowani muszą być pewni, że byli obiektem miłości Pana Boga, który ma dla nich wspaniały plan na resztę życia. Należy ich do tej myśli przekonać, skoro nie wysłali jej z mlekiem matki.

I nie ma co przypominać, że niektórzy Polacy to ateusze, będą się więc czuć dyskryminowani. Tygodnik „Niedziela” ustalił, że nawet niewierzące matki wolą oddawać dzieci katolickim rodzinom. Wiedzą bowiem, że to będą lepsi, tolerancyjni wychowawcy.

Adopcja poprzez diecezję

Czy decyzja o przykręceniu kurka adopcjom zagranicznym i oddawanie polskich dzieci wyłącznie w ręce

zagranicznych katolików usatysfakcjonuje PiS? Myślę, że nie.

Co tam 300 maluchów wysyłanych za granicę. Rocznie adoptuje się w Polsce 3000–4000 dzieci. Ponieważ nadal w adopcji pośredniczą ośrodki publiczne oraz TPD, niektóre bachory trafiają do rodzin niewierzących.

Z punktu widzenia Kościoła warto wyeliminować to zjawisko. Tym bardziej że zbudował wystarczającą bazę, żeby wziąć wszystko na siebie. Ma armię kapłanów, mających nieograniczony dostęp na oddziały położnicze. Domy samotnej matki. Domy dziecka. Pełną informację o niechcianych dzieciach, uzyskiwaną za pieniądze z naszych podatków. Dlaczego tego nie wykorzystać do nawrócenia narodu?

Obstawiam, że diecezjalne ośrodki adopcyjne krok po kroku wygrzą z rynku wszystkie inne. To już się dzieje. Na liście 93 ośrodków, zajmujących się adopcją krajową, jest aż 20 należących do diecezji. Plus ośrodki będące własnością kościelnych fundacji i stowarzyszeń.

Stanie się ogólnie wiadome, że ci, którzy zechcą adoptować dziecko, zwłaszcza małe i zdrowe, najpierw muszą pokochać Boga i prymasa Wojciecha Polaka. I żadnego in vitro. „Mamy doświadczenia i świadectwa rodzin, które poddały się tej metodzie i po niepowodzeniu trafiły do nas. Często mówią, że gdyby mogły cofnąć czas, nigdy by się temu nie poddały. Te rodziny są pokaleczone...” – to dyrektor Elżbieta Dziubaty.

Nie będzie dyskusji, co robić, aby rodziło się mniej niechcianych dzieci. Czyli o edukacji seksualnej. Dostęp do antykoncepcji. Ułatwieniach aborcyjnych. I napędzającym prokreację programie „500 plus”.

BOŻENA DUNAT

bdunat@redakcja.nie.com.pl

Wolno!

Po obejrzeniu ostatnich wyczynów „borowików” i kierowców Żandarmerii Wojskowej dochodzę do wniosku, że oprócz ich umiejętności (coraz słabszych) dużo do powiedzenia mają decyzje ich mocodawców. A te ewidentnie przypominają mi te z lat 80. w naszych najbardziej przyjaźnionych krajach demokracji ludowych. Osobiście byłem wielokrotnym świadkiem przejazdów towarzysza Todora Żiwkova w Bułgarii i one jako żywo przypominały przejazdy naszych obecnych władz, tyle że bez wypadków. Spychanie innych użytkowników drogi na bok, zamykanie dróg przejazdów kolumny dla innych użytkowników. Tak to lud kocha demokratyczne wła-



dze, że trzeba przemykać szybko i w kolumnach zamkniętych nawet na co dzień? Nawet General Wojciech Jaruzelski, będąc spóźnionym na spotkanie z J.P. 2 w trakcie drugiej pielgrzymki, jechał zwykłym polonem bez obstawy (według wspomnień Wiesława Górnickiego). Można było? Można.

Waldemar Macowicz

Błaszczak i jego wice

Z wielkim żalem, że MSW zeszło poniżej wszelkich norm, obejrzałem konferencję panów Błaszczaka i Zielińskiego dotyczącą BOR i wypadku pani Szydło.

Glamciaty głos gadający bzdury, wydobywający się z ministra, oraz głupawy uśmiech i również bzdury głoszone przez jego wice potwierdzają tezę, że PiS na takie stanowiska sygnuje bardzo, bardzo mierznych, ale uległych, nie myślących, tylko otumanionych i wiernopoddańczych. Już się nie dziwię, że prezes w manifestujących wi-

dzi ludzi specjalnej troski, jeśli codziennie patrzy w oblicza choćby tych dwóch panów, których poziom intelektualnych oscyluje wokół zera. A wyraz ich twarzy zmusza do myślenia, że ich szare komórki wyczerpały się w życiu płodowym.

Zastanawia mnie tylko, jak w takim towarzystwie czuje się komendant główny i jak mu nie wstyd swoją twarzą firmować mierność, jaka bije od ministra i jego zastępcy.

Któryś z kardynałów powinien wziąć ich na ministrantów.

Jolanta K.

Czerń

Nawiazując do świetnego artykułu red. Marty Miecińskiej „Tomek na Czarnym Lądzie” („NIE” nr 5/2017), chcę zauważyć, że gdyby w Katolandzie było więcej takich zajadłych wyznawców Matki Boskiej jak Terlikowski i jego połowica, to katolików byłoby w Polsce mniej niż w Czechach i Słowacji. Podobnie rzecz się ma z dyktatorami, którzy podpierali swoją władzę sojuszem z Kościołem. We Włoszech, Hiszpanii czy Portugalii po bezkrwawym obaleniu dyktatur świętynie stoją puste jak stodoły na wiosnę. Mocno przestraszony abp Gądecki w ubiegłym roku wystosował list pasterski do kapłanów swojej diecezji, zakazując im angażowania się po jednej ze stron politycznej sceny. Tylko niepokorny mnich o. Rydyk wciąż zaprasza kaczystów do swego radyjka i tv, ale nie mogą już bełkotać o zamachu smoleńskim ani o „spisku” Tuska i Putina i „krwi na rękach”.

Obowiązuje słownictwo poprawne: „katastrofa smoleńska” oraz „zginęli”, a nie „polegli”. Do świadomości hierarchów dotarło, jak wiele nabroili ich wybrańcy, holubieni przed wyborami w zeszłym roku.

Obawiają się odwetu po zmianie władzy za 3 lata. Nie są jednak tak mocni, aby zaplanować nad triumfalizmem kleru parafialnego, zachwyconego objawami pobożności pisowskiej elity. Ta staje na głowie, próbując zadowolić klechów. Prezydent podwoił czas klęczenia, zawiesił na szyi kardynałowi Dziwiszowi Orła Białego i karnie stawia się na msze z każdej okazji, z wyjątkiem miesięcznicowych, co jest zagadką. Kurwizja jak ognia boi się podawać informacji, które mogłyby zaszkodzić Kościołowi. Ostatnio przemilczano raport komisji rządowej w Australii o pedofilach wśród księży i zakonników.

Kazimierz Pietuchowicz, Warszawa

REKLAMA

Tadeusz Zakrzewski

**REPORTERSKIM
ZEZEM
NA TRZECIĄ
RZECZPOSPOLITĄ**



Książka i Wiedza

**„Książka i Wiedza”
tel. (22) 827-94-14
W księgarniach i w internecie.**

Wieści z kruchty

+ Z rozbłążoną głową, połamanymi żebraniami i licznymi obrażeniami ciała trafił do szpitala proboszcz parafii Matki Boskiej Fatimskiej w Kapinie pod Wejherowem. Kapłan padł ofiarą bandyckiego napadu. Sprawcy zaatakowali go, gdy wjeżdżał swoim bmw do garażu plebanii. Prawdopodobnie sterylizowali go bronią i zawlekli na plebanie. Tam skrupowali mu nogi i ręce taśmą klejącą. Potem spłądowali mieszkanie. Zabrali 20 tys. zł i odjechali wartym kilkadziesiąt tysięcy samochodem. Policja podjęła intensywne poszukiwania.

+ Prokuratura Rejonowa Warszawa Śródmieście-Północ przygotowała akt oskarżenia przeciwko Annie Zet Zawadzkiej, działaczce feministycznej i ruchów LGBT, która 3 kwietnia zeszłego roku protestowała w czasie mszy w kościele św. Anny. Zawadzka została oskarżona o złośliwe przeszkadzanie w publicznym wykonywaniu aktu religijnego. W chwili gdy ksiądz zaczął odczytywać list biskupów w sprawie aborcji, kilka kobiet

uczestniczących w mszy wyszło demonstrować przy kościele, a Zawadzka przerwała księdzu, krzycząc, że jest to perfidia, a Kościół powinien zająć się zwalczaniem pedofilii w swoich szeregach. Próbowano ją wyprowadzić dwóch parafian. Całe zajście trwało około minuty. Zawiadomienie w tej sprawie złożył do prokuratury dewot, klerykał i poseł PiS Stanisław Pięta. Zawadzka nie przeżyła się aktem oskarżenia. – Nie żałuję tego, co zrobiłam. Nie przyznaję się do zarzucanego mi czynu. Nie mogę się doczekać rozprawy. Mam nadzieję, że to, co jest w konstytucji zapisane jako rozdział państwa od Kościoła, sąd weźmie pod uwagę – powiedziała prasie dzielna kobieta.

+ Prokuratura Rejonowa w Wodzisławiu Śląskim prowadzi dochodzenie w sprawie trzykrotnego podpalenia samochodu mieszkanki Radlina. Kobieta oskarża o to męża – 35-letniego Tunezyjczyka z polskim obywatelstwem. Kobieta, która wystąpiła o ochronę policyjną, utrzymuje, że podpalanie samochodu jest zemstą jej męża za ograniczenie kontaktów z córką i ochrzcenie jej.

+ Jest finał sprawy trzech konnych policjantów, którzy w święto Trzech Króli za-

bezpieczali w Szczecinie uroczystości religijne, przebrani za anioły. Naczelnik prewencji, sprawujący nadzór nad policjantami, został ukarany naganą polegającą na pozbawieniu nagród. Z policjantem odpowiedzialnym za referat konny przeprowadzono zaś rozmowę dyscyplinarną. Wszyscy konni policjanci dostali ponadto zalecenie, by nie dochodziło w przyszłości do takich incydentów, albowiem narażają one policję na śmieszość.

+ W rekordowym tempie przybywa oficerów w polskiej armii. W Katedrze Polowej Wojska Polskiego odbyła się uroczystość wręczenia patentów oficerskich grupie 161 księży, którzy w czasach PRL odbyli służbę wojskową w tzw. jednostkach klerycznych. Główną atrakcją uroczystości był minister obrony Antoni Macierewicz, który wygłosił porwijającą mowę o cierpieniu i heroizmie awansowanych księży. – Teraz przyszedł czas, gdy wolna ojczyzna potrzebuje was bardziej niż kiedykolwiek – stwierdził. W listopadzie zeszłego roku podczas podobnej uroczystości Macierewicz wręczył podpisaną przez Dudę patenty 132 byłym klerikom.

JAN

Wieści na użytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

Korespondencja z Izraela

Cały kulturalny Izrael jest oburzony, a zarazem podzielony w rezultacie wystawy, jaką zorganizowało Muzeum Izraela w Jerozolimie (coś jak nasze Muzeum Narodowe). Jak Polacy, gdy w warszawskiej Zachęcie Anda Rottenberg zaprezentowała papieża trzaśniętego meteorytem. Pamiętacie tę instalację? Kukła w białej sutannie leży na parcie, udając, że powalił ją papierowy kamień.

Wystawa w izraelskim muzeum finansowana z kieszeni podatników pod znanym tytułem „Behold the Man” (Ujrzyj Człowieka), nawiązującym do słów Poncjusza Piłata, który pokazując ubiczowanego Chrystusa ludowi Izraela, rzekomo rzekł „ecce homo” (oto człowiek) poświęcona (achtung!) jest Jezusowi personalizującemu dzieje Izraela.

– Toć to hucpa! – gardłują ortodoksyjni urzędnicy Ministerstwa Usług Religijnych w obciążonych chałatach.

Chrześcijański mesjasz bowiem w judaizmie jest niczym ten meteoryt, który przygniótł papieża. Obrazoburczy, nieprawdziwy, samozwańczy, bękart, rzec można, heretyk i burzyiciel tradycji. Mocne stwierdzenia, o tyle mocniejsze, że tożsame z poglądami rządu Izraela. Izrael jest państwem wyznaniowym, gdzie judaizm jest religią państwową.

Chrystus żydem czy Żydem

Zarzewiem konfliktu ideologicznego między judaizmem a chrześcijaństwem jest postać Jezusa Chrystusa.

Dokładniej – jego przynależność narodowa i religijna.

Czy Chrystus był w istocie Żydem?

Bibliści i talmudyści udowadniają to, co w danej chwili trzeba udowodnić pod obalunek władzy. Bywa to sprzeczne z prawdą, a nawet ustaleniami bogoznawców z tych samych orientacji w poprzednich pokoleniach.

Podstawowy problem intelektualny – nierozwiązany, więc konfliktogenny – zasadza się bowiem po pierwsze, na różnicach semantycznych między słowami „żyd” i „Żyd”. Wszak można

Żydzi kradną Jezusa



być żydem, nie będąc Żydem. Między tymi wyrazami jest przecież różnica polegająca na tym, że żyd to wyznawca którejś z religii judaistycznych, a Żyd to obywatel państwa Izrael. Sprawa żydostwa Chrystusa staje się jeszcze bardziej skomplikowana, gdy się ją przeanalizuje pod względem antropologicznym – czyli w kwestii, jak rasowym semitą był Jezus Chrystus.

Problem ten liturgiczność chrześcijańska zawsze zamykała pod dywan, unikając mówienia o Chrystusie „Żydem”, a pojęcie „naród żydowski” zastępując eufemizmem „naród wybrany”.

W obecnych traktatach religijnych, zwłaszcza w Polsce, można znaleźć obszerne wywody, np. księdza dr. Romana Kneblewskiego, który za pośrednictwem telewizji „Tuba Cordis” (co znaczy chyba „Rura z serca”) zmyśla argumenty mijające się z prawdą, aby jednak doprowadzić odbiorców do przekonania, że Chrystus nie był ani żydem, ani Żydem, ani nawet semitą. Podobnie zresztą jak jego matka Maryja!

W świetle słowa bożego ujawnionego w Nowym Testamencie, gdzie wyraźnie napisano, że Baranek Boży jest potomkiem króla żydowskiego Abrahama, jest to oczywisty nonsens, ale księdzu doktorowi nonsens nie przeszkadza.

Chrystus fałszywym mesjaszem

Religia państwowa Izraela nie uznaje Chrystusa za mesjasza. Nowego Testamentu – za kontynuację Starego. Nie uważa Pisma Świętego, uważając je za piśmiennictwo mało poważne o niskiej wartości faktograficznej.

Po myśli myślicieli judeoteistycznych byłoby lepiej, aby Jezus Chrystus nie miał z nimi nic wspólnego. Fałszywy prorok i antychryst, rzec by mogli.

Dlatego wystawa w państwowym izraelskim muzeum, która gromadzi eksponaty prezentujące Chrystusa w nieco innym świetle, wzbudza wzburzenie większe niż widok esesmana w mundurze paradnym na King David Street.

Kurator wystawy Amitai Mendelsohn dobrał bowiem eksponaty dość tendencyjnie z zamiślem zaprezentowania żywota Jezusa jako egzemplifikacji dziejów Izraela. Aby było jeszcze trudniej tę supozycję obalić, wybrał tylko dzieła stworzone przez artystów żydowskiej proweniencji, cokolwiek miałyby to znaczyć.

Słynna fotografia Nesa Adiego – przedstawiająca 14 żołnierzy izraelskich siedzących przy stole, którzy jedzą posiłek przed walką, zatytułowana „Ostatnia wieczerza”, lub przybita do krzyża

flaga państwowa Izraela, upięta w kształt ciała człowieka – budzą jednoznaczne skojarzenia.

Chrystus był jednak żydem! Prawda ta rozniętnia przedstawicieli Naczelnego Rabinatu Izraela, którego zdaniem finansowanie takiego profanicznego performansu z państwowych pieniędzy jest skandalicznym dyshonorem, a wystawa niechybnie jest wykroczeniem przeciw regulacjom izraelskiego kodeksu karnego. Rabin nie wie jeszcze, który artykuł został dokładnie pogwałcony. Podobnie jak w Polsce, obraza uczuć religijnych w Izraelu jest na pewno przestępstwem.

Żydowski król i goje

Natomiast laicki Izrael widzi sprawę nieco inaczej. To dobrze, że nasi artyści eksploatują wątek Jezusa Chrystusa w twórczości. Cóż złego w tym, że goje modlą się do żydowskiego króla – zapytują przewrotnie i z uśmiechem. Żyd – stworzenie z natury międzynarodowe – mógł być wszak Jezusem Chrystusem równie dobrze jak Amerykaninem, Rosjaninem lub, co też przecież może się w najgorszym z przypadków zdarzyć, Niemcem. Ci co bardziej merkantylnej orientacji uważają, że można z tego faktu wysnuć pewne wnioski natury majątkowej. Do kogo należy majątek Kościoła katolickiego, skoro Jezus Chrystus był – ba, jest – królem wielu katolickich krajów? Dodajmy, że jest też królem Polski.

Tym samym odżyła wielowiekowa dyskusja, przed którą przestrzegali Jan Paweł II, zwolennik dialogu między chrześcijaństwem a judaizmem. Papież w dwuznaczny sposób sygnalizował niecelowość chrześcijańskiej dysputy nad pochodzeniem Jezusa oraz popierał dążność do przemilczenia faktu, że przecież Chrystus sam się nie ukrzyżował. Starsi bracia w wierze – tak nakazywał wiernym Kościoła myśleć o wyznawcach judaizmu.

Jeżeli rząd Izraela wystawy nie spacyfikuje, powinna być ona czynna do najbliższej, 1984. rocznicy zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Odnalezienie wśród żywych króla wszechświata i zadanie mu pytania o przynależność narodowo-rasowo-religijną byłoby w tej sytuacji jak najbardziej pożądane. Oczywiście, gdyby udzielił prawdziwej odpowiedzi.

ROBERT JARUGA

jaruga@redakcja.nie.com.pl

Rosyjska „Niezawisimaja Gazeta” od lat publikuje ranking stu najbardziej wpływowych osób w Rosji – z kręgu polityki i biznesu. Kandydaci oceniani są w skali od 1 do 10 przez politologów, naukowców, dziennikarzy, przedstawicieli NGO oraz pięciu najbardziej liczących się partii politycznych.

W rankingu za zeszły rok pierwszą pozycję zachował oczywiście prezydent Władimir Putin z imponującym wynikiem 9,87 punktów – o 0,53 lepszym niż w roku 2015.

Czołówkę stanowią przedstawiciele władzy politycznej. Na drugim miejscu uplasował się premier Dmitrij Miedwiediew – o 2,2 punktu za Putinem. Przewaga prezydenta jest wyraźna i nieco większa niż w ubiegłych dwóch latach.

Trzeci na liście to przewodniczący Dumy Państwowej Władimir Wołodin. Gorzej wypadła przewodnicząca rosyjskiego senatu, czyli Rady Federacji, Walentina Matwienko, której przyznano zaledwie 24. miejsce. Zdobyła ona tyle punktów, co Siergiej Naryszkin – spiker Dumy poprzedniej kadencji, a od grudnia 2016 r. szef wywiadu. Wydaje się jednak, że jego pozycja w strukturach władzy nie została doceniona. Naryszkin to od lat bliski współpracownik i, jak można domniemywać, zaufany człowiek Putina. Przed skierowaniem go do przewodniczenia w Dumie był szefem prezydenckiej administracji. Również fakt powierzenia mu kierowania służbą wywiadowczą potwierdza bliskie związki z Putinem. Autorzy rankingu uznali jednak, że od wywiadu ważniejsza jest Federalna Służba Bezpieczeństwa – dawna KGB – o czym świadczy 10. pozycja jej szefa Aleksandra Bortnikowa. Znacznie niżej, na 32. miejscu, o 5 lokat niżej niż przed rokiem, notowany jest minister spraw wewnętrznych Władimir

Prezes Rosji

Kołodkołcew. Wyżej od ministra został natomiast wyceniony generał Wiktor Zołotow. Mianowany w marcu 2016 r. na dowódcę armii, wskoczył na listę rankingową od razu na miejsce 15.

Na 4. i 5. miejscu znajdują się – w tej właśnie kolejności – ministrowie obrony Siergiej Sojgu i spraw zagranicznych Siergiej Ławrow, natomiast najniższej notowany jest wicepremier i szef rosyjskiego odpowiednika KPRM Siergiej Prichodko, zajmujący 31. pozycję. Wyżej uplasowały się osoby zarządzające pieniędzmi, przy czym ich pozycja w porównaniu z zeszłym rokiem wzrosła. Minister finansów Anton Siłuanow awansował o 2 miejsca na 9., a szefowa Banku Centralnego Elwira Nabiullina – o 5 na 11. Środowisko finansjery reprezentują także szefowie banków Gierman Gref, były wiceminister rozwoju

gospodarczego i handlu (na miejscu 23.) oraz Jurij Kowalczyk (na 26.). Wyżej od finansistów notowany jest

patriarcha moskiewski Kirill – ósma najbardziej wpływa osoba w Rosji.

Pelniając funkcję sekretarza prasowego premiera Natalia Timakowa – zajmuje 60.–61. miejsce do spółki z ministrem ds. energii Aleksandrem Nowakiem. Niska pozycja Nowaka jest zastanawiająca, jeśli brać pod uwagę rolę, jaką nośniki energii odgrywają w rosyjskiej gospodarce. Bardziej wpływowym od ministra okazuje się prezes zarządu największej na świecie spółki naftowo-gazowej Rosneft Igor Sieczin zajmujący siódmą lokatę. Jak wynika z rankingowych notowań, Rosneft jest ważniejszy od trzęsącego rynkiem gazowym Europy Gazpromu, skoro jego prezes Aleksiej Miller został usytuowany dopiero na miejscu 18.

Kierujący potężnymi spółkami z większościowym udziałem państwa, takimi jak Rosneft i Gazprom, zostali sklasyfikowani wyżej w hierarchii wpływów niż najbogatsi prywatni biznesmeni, co podważa tezę o rządach oligarchów.

Rosja bowiem tym się różni od Ukrainy, że na Ukrainie oligarchowie kontrolują państwo, a w Rosji na odwrót.

Powiązania władzy państwowej z prywatnym biznesem mają w Rosji bardziej nieoficjalny czy też lekko zakamuflowany charakter. Najwyżej sklasyfikowany – na 22. miejscu – prywatny biznesmen, posiadacz udziałów w wielu spółkach Arkadij Rotenberg, był na początku lat 90. sparring-partnerem Putina na treningach w dżudo. Trudno jednoznacznie stwierdzić, czy osobista znajomość z Putinem pomogła mu w uzyskaniu lukratywnych kontraktów od państwa i Gazpromu. W 2015 r. na mocy rządowego rozporządzenia należąca do niego firma Strojgazmontaż została jedynym podwykonawcą robót w zakresie projektowania i budowy przejścia komunikacyjnego przez Zalew Kerczeński łączący Krym z Rosją. W tym samym roku Strojgazmontaż został przez Gazprom wybrany jako jedyny podwykonawca budowy gazociągu Siła Syberii, na czym zarobił prawie 200 mld rubli.

Śpośród dwudziestu – według prestiżowego rankingu kompanii medialnej Forbes – najbogatszych rekinów biznesu na liście stu najbardziej wpływowych osób w Rosji znalazło się jedynie pięciu, i to na dość odległych miejscach.

Porównywalne z biznesmenami niewielkie wpływy mają przedstawiciele administracji regionalnej. Jedynie mer Moskwy Siergiej Sobianin zajmuje przyzwoitą 20. lokatę. Władca Czeczenii Ramzan Kadyrow zajmuje dopiero 48.–49. pozycję.

BOLESŁAW K. JASZCZUK



Rowery na ropę.

Rządy nie szczędzą pieniędzy, żeby reprezentacje ich krajów odnosiły sukcesy sportowe. W ten sposób można pokazać wszystkim dookoła, że nasi są najlepsi na świecie. Oficjalnie nazywa się to promocją kraju.

Pod tym względem bardzo niewdzięczną dyscypliną jest kolarstwo. Zawodnicy startują w barwach swoich grup zawodowych, a państwo, w którym są one zarejestrowane, nie ma większego znaczenia, bo może to wynikać np. ze względów podatkowych. W reprezentacyjnych barwach swojego kraju kolarze występują raz w roku podczas mistrzostw świata i raz na 4 lata podczas igrzysk olimpijskich. Nie ma więc czegoś takiego jak reprezentacja narodowa, a rola dyrektora sportowego sprowadza się do wybrania kolarzy będących w dniu mistrzostw w najwyższej formie.

Koszulki i spodenki kolarzy służyły do reklamowania różnych produktów, od chemii gospodarczej, przez elektronikę, po wyroby odzieżowe. Ale to zaczyna się zmieniać. Decydują oczywiście pieniądze, a ściślej – rosnące koszty finansowania grupy kolarskiej. Coraz mniej firm stać na reklamę podczas wyścigów kolarskich. Puste miejsca na koszulkach zajmują albo państwowi giganci, np. największa francuska loteria FDJ, albo po prostu państwa.

Płać i zgrzytanie zębów

Kolarstwo to nie piłka nożna, tu nie ma co liczyć, że włożone pieniądze przyniosą konkretny zysk. Biletów ludziom stojącym przy szosie nie ma jak sprzedać. A koszty są naprawdę duże. Nie chodzi nawet o wypłacanie pensji i premii zawodnikom, bo kolarskie gwiazdy zarabiają mniej niż np. piłkarze. Ale każda rowerowa gwiazda potrzebuje grona pomocników, którym też trzeba płacić. Podczas wyścigów zespołowi towarzyszy autokar wyposażony w gabinet odnowy, kuchnię, warsztat rowerowy i Bóg wie w co jeszcze. Swego czasu podczas Tour de France lider imprezy Chris Froome uparł się, że będzie nocować w takim autokarze, bo ma tam lepsze warunki wypoczynku niż w hotelu. Zabronili mu tego organizatorzy, tłumacząc, że wszyscy muszą mieć równe szanse, wypoczywać powinni więc w jednakowych warunkach. Ponieważ największe grupy startują jednocześnie w kilku wyścigach, jeden taki autokar nie wystarcza.

Niezbędne są oczywiście wozy techniczne, ciężarówka, dochodzi do tego skomplikowana elektronika, która pozwala dyrektorowi ekipy na stałą łączność z zawodnikiem, opłaty za transport, za hotele.

Sam rower wyczynowy kosztuje tyle, ile przyzwoity samochód, a komputerek znajdujący się

Pedały bez sponsorów

na jego kierownicy pokazuje kolarzowi nie tylko aktualną i średnią prędkość, kilometrą, tętno oraz ciśnienie krwi, ale od pewnego czasu także moc wydatkowaną przez organizm zawodnika, co pozwala mu podejmować właściwe decyzje na szosie, bo wie, ile mu jeszcze zostało sił.

Po zakończeniu minionego sezonu rosyjski oligarcha Oleg Tinkow zakomunikował, że wycofuje się z tej działalności, nowego pracodawcy musieli więc szukać nie tylko brązowy medalista olimpijski Rafał Majka, ale także mistrz świata Słowak Peter Sagan i jedna z największych gwiazd – Hiszpan Alberto Contador. Polski oligarcha Dariusz Miłek, w młodości dobry kolarz, pozostał na rynku. Ponieważ jednak Miłek jest złotówkowym, a nie dolarowym miliarderem, jego grupa CCC Sprandi Polkowice występuje w dywizji UCI Professional Continental Teams, czyli w kolarskiej II lidze. W największych imprezach może startować tylko wówczas, gdy zostanie specjalne zaproszenie od organizatorów.

Na rowerze do niepodległości

Pierwsi do innych celów niż reklamowanie rynkowych produktów postanowili wykorzystać kolarstwo Baskowie, którzy od wieków marzą o niepodległości. Żeby zwrócić uwagę świata na swoje problemy, ETA rzucała bomby, a działy sportowi hołubili w tym czasie zawodników.

Przez lata zawodowa grupa Euskaltel-Euskadi ścigała się z najlepszymi kolarzami świata, zatrudniała tylko Basków. Po jakimś czasie władze autonomii Kraju Basków i lokalna sieć telefoniczna, które finansowały przedsięwzięcie, doszły do wniosku, że nie stać ich na taką ekstrawagancję i grupę rozwiązały. Teraz próbują ją wskrzesić, ale idzie to opornie i na razie Baskowie ścigają się w małych imprezach.

Propagandowej szansy, jaką stwarza kolarstwo, nie mogło nie zauważyć kilka krajów znacznie bogatszych od baskijskiej autonomii. W 2009 r. Rosjanie powołali zawodową grupę Katusza. Niczego nie reklamuje na koszulkach.

Po prostu ma się kojarzyć z Rosją. Nazwę wymyślił podobno sam Władimir Putin, ale tego oczywiście nikt nie sprawdzi, bo kto o to zapyta prezydenta Federacji Rosyjskiej? W Katuszy jeżdżą kolarze z wielu krajów, sami Rosjanie nie zapewniliby jej sukcesów. Ale i tam kłódra okazuje się za krótka. W tym sezonie Katusza połączyła siły ze szwajcarskim producentem koferinowego szamponu do włosów Alpecin i zespół wyjeżdża na szosy pod nazwą Katusza-Alpecin.

Kazachowie nie bawili się w subtelności. Zespół nazwali Astana. Grupa, która przyjęła w nazwie stolicę Kazachstanu, nie musi szukać partnera do finansowego wsparcia. Kazachstan jest wystarczająco bogaty, a kraj osiągnięty dochody z eksportu ropy naftowej od jakiegoś czasu stara się zaistnieć poprzez sukcesy w sporcie i organizowanie dużych imprez. Początki istnienia kolarskiej Astany nie były jednak fortunne. W 2008 r. zatrudniono tam kilku zawodników, którzy odeszli z grup zamieszanych w afery dopingowe. Tak zszargało to opinię drużyny, że nie została zaproszona do udziału w Tour de France. W Astanie jeździł też przez jakiś czas dopingowicz wszech czasów Amerykanin Lance Armstrong. Obecnie liderem jest Włoch Fabio Aru i choć od dawna nie przylapano nikogo na stosowaniu niedozwolonego wspomaganie, zła opinia wciąż ciągnie się za zespołem. To cena, jaką się płaci za robienie szybko i za duże pieniądze silnej drużyny. Wyniki osiągane przez Astanę zadowalają jednak właścicieli i wciąż należy ona do czołówki UCI World Teams, czyli kolarskiej ekstraklasy.

Szejkowie pedałują

Być może wkrótce okaże się, że na utrzymywanie dobrej grupy zawodowych kolarzy stać tylko eksporterów ropy naftowej i gazu. W tym sezonie pojawił się w elicie zupełnie nowy zespół – Bahrain-Merida. Królestwo Bahrajnu leży nad Zatoką Perską, wiadomo więc, co się tam wydobywa spod piasku, a Merida to producent rowerów. Projekt zorganizowano z rozmachem. Zatrudniono wybitnych fachowców, m.in. jednym z dyrektorów został czołowy kolarz minioniej dekady Hiszpan Joaquim Rodriguez, a na szosie liderować będzie kolegom Włoch Vincenzo Nibali, który wcześniej wygrał 3 największe toury.

W ostatnich latach obserwuje się wzrost zainteresowania

kolarstwem w bogatych krajach arabskich. Katar organizował mistrzostwa świata, rozgrywa się w tym rejonie wiele wyścigów, na które wysokie nagrody przyciągają gwiazdy, choć nie kibiców, bo przy szosach zazwyczaj nie ma nikogo. Widać wyraźnie, że zdano tam sobie sprawę, jakie ta dyscyplina stwarza możliwości do promowania kraju.

Nawiasem mówiąc, Izrael nie pozostał na to obojętny. W 2015 r. założono zawodową grupę Izrael Cycling Academy i już w tym samym roku zanotowała pierwszy sukces. Jej zawodnik Daniel Turek wygrał jeden z etapów Wyścigu dookoła Azerbejdżanu. Obecnie Izrael Cycling Academy startuje w dywizji UCI Professional Continental Teams, a więc w tej samej II lidze kolarskiej, co polska CCC Sprandi Polkowice.

Bo będziemy w telewizji

Ktoś zapyta, po co w ogóle angażować się w kolarstwo, skoro jest to sport tak kosztowny? Jak zwykle decyduje telewizja. Transmisji z imprez kolarskich jest bez liku, widocznie są chętni do ich oglądania. Eurosport podjął w tym roku ryzykowną decyzję. Podczas Tour de France transmitować będzie wszystkie etapy od startu do mety! Przez 3 tygodnie, codziennie 5 albo i więcej godzin relacji non stop. Czy można przepuścić taką okazję do promowania kraju? Skoro poradzili sobie z tym bogaci Rosjanie, Azerowie i Arabowie, a nawet sprytni Żydzi, to czy my mamy być gorsi?

Nasz rząd nieraz pokazał, że jeśli coś ma być narodowe, koszty się nie liczą. Czekamy więc na polską kolarską grupę, i to od razu w dywizji UCI World Teams. Ponieważ działacze PiS lubią stawiać na ambitną młodzież, na rowerach mogliby pedałować Edmund Janniger z Bartłomiejem Misiewiczem. Sukcesy murowane.

WOJCIECH MITTELSTEDT
w.mittelstaedt@op.pl



SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY REDAGUJĄ:
Jerzy Urban – redaktor naczelny,
Przemysław Cwikliński, Waldemar Kuchanny, Andrzej Rozenek (zastępcy red. nacz.),
Mateusz Cieślak, Małgorzata Daniszewska, Bożena Dunat, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Maciej Mikołajczyk, Andrzej Sikorski, Agnieszka Wołk-Laniewska,
Krzysztof Olejnik, Włodek Kierus (grafika, DTP).

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-789 Warszawa, ul. Słoneczna 25,
tel.: 22 848-84-48, 22 848-44-20, 22 848-96-68;
tel./fax 22 849-72-47 i 22 849-72-58.

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849-59-38.

INTERNET
http://www.nie.com.pl – także prenumerata internetowa.
E-MAIL NIE@redakcja.nie.com.pl

Współpraca: „Daniszewska i córka s.c.”

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca. Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji. Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK: Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpasa.com.pl

Poczta Polska – prenumerata krajowa:
Infolinia 0-801-333-444, dla tel. komórkowych 438420600
www.prenumerata.poczta-polska.pl

„Ruch” S.A. – prenumerata krajowa:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl. Ewentualne pytania prosimy kierować na adres e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Telefonicznym Biurem Obsługi Klienta pod numerem: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7⁰⁰– 17⁰⁰. (koszt połączenia wg taryfy operatora).

prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę:
Informację o warunkach prenumeraty i sposobie zamawiania można uzyskać pod nr tel. +48 (22) 693 67 75
www.ruch.com.pl
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl

Telefoniczne Biuro Obsługi Klienta (koszt połączenia wg taryfy operatora):
• połączenie z telefonów stacjonarnych 801 800 803
• połączenie z telefonów komórkowych +48 (22) 693 70 00

Dystrybutor: Kanada – Vartex Distributing Inc., 3135 Universal Dr. Unit # 3 Mississauga, Ont., L4X 2E6 Canada. Tel. (905) 624-4726.0

Prenumerata elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl
1 numer – 3 PLN, 5 wydań – 15 PLN, 13 wydań – 39 PLN, 26 wydań – 78 PLN, 52 wydania – 156 PLN

Numer zamknięto: str. 1-16 – 15.02.2017 r.



by blagier Urban



Powołane przez ministra zdrowia Konstantego Radziwiłła konsylium orzekło, że prezes Kaczyński jest zdrowy jak rydz. Nie dokucza mu trzustka ani żaden inny organ wewnętrzny, a zaordynowana intensywna chemioterapia ma cel jedynie zapobiegawczy.

– Ośmieszymy się, jeśli opublikujemy takie oświadczenie – zaprotestował profesor gastroenterolog. – Zdrowy pacjent nie wymaga terapii.

– Nie opublikujemy oświadczenia – powiedział minister – i w ten sposób się nie ośmieszymy. I rak syty, i trzustka cała, mógłbym zażartować, ale sytuacja, z którą mamy do czynienia, nie skłania do żartów. Przechodzimy do drugiego punktu dzisiejszego spotkania: stan zdrowia premier Szydło. Wiem z telewizji, że jest zdrowa jak rydz... Profesorsze?

– Stan ogólny zadowalający, rokowania optymistyczne – odezwał się profesor internista. – Lecz krwawe podbiegnięcia...

– Myślę, że siniaki możemy pominąć – przerwał mu Radziwiłł.

– Wybaczmy...

– Siniaki pomijamy – zdecydował minister. – Kości nienaruszone?

– Jeżeli nie liczyć złamania kości strzałkowej z poważnym przemieszczeniem – odparł profesor ortopeda.

– Nie liczyć – polecił Radziwiłł. – Do wesela się zagoi. No to co? Niech któryś z panów profesorów zredaguje oświadczenie, że premier Szydło jest zdrowa jak rydz.

– Nie tak szybko! – rzekł podniesionym głosem profesor psychiatra. – U pacjentki diagnozowano ostrą postać machinopschozy.

– Zaraz, zaraz, dlaczego od razu ostrą? – oburzył się minister. – Nie używajmy słów, których moglibyśmy potem żałować. Co to jest ta machinocośta?

– Machinopschoza, zwana też automanią lub karomanią, to zaburzenie psychiczne polegające na niechęci do samochodów przechodzącej w paniczny strach przed nimi.

– Chce pan powiedzieć, profesorsze, że pani premier boi się samochodów?

– Najkrócej mówiąc, tak. Pacjentka toleruje istnienie samochodów, docenia ich rolę we współczesnym świecie, ale świadomie do samochodu nie wsiądzie – odpowiedział psychiatra.

– No to czym będzie jeździć do Brzeszcz... Brzeszczów... tam, gdzie mieszka? – zaniepokoił się ortopeda.

– Właśnie! – zawołał Radziwiłł. – Na samą myśl o tym, że mogłaby wsiąść do samochodu, pacjentka wpada w katatonię sprężoną z echolalią, echopraksją, akinezią i mutyzmem – stwierdził psychiatra.

Minister zdrowia wzdygnął się. Przełknął ślinę i powiedział: – Mam nadzieję, że nikt tego nie protokołuje... Jak to się leczy? I ile trwa leczenie?

– Psychoterapia, leki przeciwpsychotyczne drugiej generacji... Terapia bez gwarancji wyleczenia, a nawet poprawy, potrwa co najmniej pół roku.

– Na razie opublikujemy oświadczenie, że premier jest zdrowa jak rydz, a ja jeszcze dziś naradzę się z prezesem, który, przypominam, też jest zdrow jak rydz, co robić w tej sytuacji. Panom profesorom dziękuję, przypominając o klauzuli poufności. A pana profesora – Radziwiłł zwrócił się do psychiatry – proszę, żeby zapisał mi na karteczce nazwy tych wszystkich zaburzeń.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI
pcwikla@redakcja.nie.com.pl

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętej Felicji

Telewizje nie ustają w informowaniu, że jest mróz i śnieg, a to w trafnym przekonaniu, że ludzie nie czują zimna i nie widzą zasp, dopóki nie zobaczą ich na ekranie. Podobnie umarli o swojej śmierci dowiadują się z nekrologów.

Świętego Rafała

Po hotelowej randce Merkel z Kaczyńskim organ tego drugiego relację, o czym mówili, zatytułował „Polska odegra kluczową rolę w reformie UE”. Dalej czytamy, że bez Polski Unia się rozpadnie. Jeśli ma przetrwać, Polska musi odgrywać kluczową rolę, bo rzekomo jest liderem regionu. Niemcy są skazani na rozmawianie z Kaczyńskim, który ma klucz do ich polityki. Bredni tych nie mówiła jednak, jak należałoby mniemać, pani kanclerz, ale europoseł PiS Ryszard Czarnecki, odgadując, co myślała na spotkaniu w Warszawie. Przepraszam, Czarnecki to także czternasty wiceprzewodniczący Parlamentu Europejskiego.

Świętego Tymoteusza

Co Kaczyński miał na myśli, mówiąc: „...jestem zdania, że powinniśmy działać na rzecz włączenia Polski w amerykański system obrony atomowej”? Przyboczni dziennikarze prezesa nie zapytali go o to. Jego naród, tytułowany suwerenem, śpi spokojnie, chociaż dostęp Kaczyńskiego do broni termojądrowej to najstraszniejsza, co może grozić światu. Ja nocami kombinuję. Może wicebóg Polski poprosi Trumpa, żeby podarował mu duplikat czarnego neseseru z guzikiem, którego naciśnięcie wysadza Moskwę w powietrze? I na domiar złego skażone.

Świętego Miłosza

Nigdy nie wierzę w prawdziwość informacji nazbyt upragnionych przez ich roznosić. Krążą plotki o podobno doniosłym politycznie raku trzustki. Sam słyszałem je pośrednio z dwóch niezależnych źródeł lekarskich. Źródła jednak nie leczą Najwyższej Trzustki. Zapewne same także dowiedziały się o pogłosce z internetu. Internet rodzi kłamstwa, które wracają tamże do powielenia. Raczek w organie stanowi przejaw niepożądanego życzenia.

Świętej Elwiry

Codziennie „Gazeta Wyborcza” czułościowo reklamuje innego psa lub konia, któremu należy ratować życie, śląc mu pieniądze. Opisywane są szczegółowo dolegliwości tych zwierząt. Czy tajemnica lekarska nie jest powinnością weterynarzy? Co gorsza, oni ją zdradzają dla własnych korzyści pieniężnych. Bo któż, jak nie lekarze zwierząt, wezmą zebrane pieniądze?

KOLUMNA RZĄDOWA



Rys. TOMASZ WIATER

Świętej Pauliny

Seryjne wypadki lotnicze i drogowe, których doznają człowieczki ze szczytów władzy, prowadzą dygnitarzy do obłędu. Gdy premierzy Szydło stuknęło o drzewo, minister Błaszczak podjął środki zaradcze. Zmieni BOR-owi nazwę. Uprawia więc czary voodoo, wierząc, że pod nowym mianem kierowcy ochrony, przemianowani na aniołów, zaczną jeździć wolnej. Sam kiedyś wyjechałem z bocznej drogi pod koła pędzących szosą samochodów. Stało się tak, ponieważ nie zdołałem stanąć przed znakiem „stop” i mój wóz wyslizgnął się po lodzie na asfalt, stając w poprzek szosy. Jednak w latach dziewięćdziesiątych zeszłego wieku prezydenci i premierzy mieli wolniejsze auta i mniej rozbuchanych szoferów, gdyż PiS jeszcze nie rządziło. Auta, pod które wjechałem na szosie, należały do zwykłych ludzi, więc zahamowały. Przez to nie poszedłem siedzieć.

Świętego Polikarpa

Prezes klubów „Gazety Polskiej”, kalający imię i nazwisko Ryśka Kapuścińskiego, wezwał polityków i inne gadające głowy PiS do bojkotowania telewizji ni rządowych, gdyż „tylko uwiarygodniają kłamstwa opozycji”. Tamże był apel o spacerowanie wieczorami i nieoglądanie żadnej telewizji poza Telewizją Republika. Kopało to Jacka Kurskiego, prezesa TVPiS związanego z konkurencyjną wobec Sakiewicza frakcją skupioną przy tygodniku „wSieci”. Czytałem w prasie, że Republika ma czterotysięczną widownię, więc przeciętnie 23 razy mniejszą niż moje poszczególne filmiki na YouTube. „GPC” podaje, że przez 2 lata rządów PiS jej sprzedaż wzrosła o 5 proc. Nie informuje jednak, od jakiej liczby egzemplarzy są te procenty. Jeśli także do 4 tys., byłby to wzrost o 200 gazet. 5 procent od pięciu proc. kupuje redakcja „NIE”.

Świętego Tytusa

Wicepremier Morawiecki zamierza równomiernie rozwijać kraj. Jest to wziętka z polityki Gomułka porzuconej przez Gierka prawie pół wieku temu. Gomułka chciał stworzyć przemysł tam, gdzie ludzie potrzebują pracy, zamiast ułatwić migrację pracowników w te rejony, gdzie są tradycje wytwórcze i innowacyjne, więc inwestycje się opłacają. Przemieszczanie potrzebujących pracy jest też nieskończenie tańsze niż lokowanie przemysłu i innych nowoczesnych inwestycji tam, gdzie mieszkają potencjalni pracownicy. Przy tym dyslokacje w polu i lasy nie wróżą tego, że praca da efekt wytrzymujący konkurencję i dochodową. Nie wiem też, czy Macierewicz będzie się cieszył, kiedy mu Morawiecki ewentualną przyszłą produkcję bojowych helikopterów przeniesie do Suwałk. Nowy Targ zaś nadaje się do wyrobu modlitw, ale nie na polską dolinę krzemową tworzącą nowe formy cyfryzacji, robotyzacji i puszczania w niebo polskich superdronów. Nawet gdyby umiały tańczyć krzesanego.

Świętego Polikarpa

Głównym zmartwieniem naszej polityki zagranicznej jest zwalczanie pojęcia „polskie obozy koncentracyjne”, chociaż to tylko wadliwe określenie, a ludzie czytający w Europie gazety oraz wszyscy, którzy uczyli się w szkole historii, i tak wiedzą, że to była hitlerowska robota. Prasa PiS z rozędu powojenne polskie obozy dla Niemców (niektóre były katowniami) mieszczą się na ogół w tych samych miejscach przypisuje Związkowi Radzieckiemu. Jeszcze zepchnąć smog na Tuska i Polska przestanie się modlić do „Maryi zawsze dziewicy”, gdyż sama się stanie niepokalaną dziewczyną dzięki nowym programom szkolnym i zakłamaney polityce historycznej oraz propagandzie rządu i innych szowinistów.

Świętego Tytusa

Daniszewska wsadziła Azora do samochodu. Wyrwał się i skomlał, gdyż dotychczas jeździł zawsze do weterynarza. Nieraz na rwanie zęba. Wrócili jednak już po półgodzinie, a na moje pytanie, gdzie byli, Daniszewska odparła, że nie może mi powiedzieć. Gdyby pudel pojechał np. zabawić dziecko lub inne zwierzę, nie robiłaby z tego tajemnicy. Gdyby wpadła gdzieś blisko do kochanka na krótki numer, po co byłby jej pies? Mężczy mnie nie to, że przejażdżka Azora stanowi tajemnicę, ale to, iż nie mam żadnej hipotezy. I może właśnie o to żonie chodziło. Woziła pudła, żebym zrozumiał, że nie jestem taki łebski, jak o sobie mniemam. Ta kobieta znęca się nad Azorem i nade mną. □

sekr@redakcja.nie.com.pl

GANGRENA

R. Dąbrowski



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI